



Konstanty Simonow

DALEKO NA WSCHODZIE

*Przełożył z rosyjskiego Stanisław Nikoniuk
Książka i Wiedza - Warszawa 1974*

Od autora

Czy naprawdę minęło już prawie trzydzieści lat od wydarzeń nad rzeką Chałchyn-Goł w Mongolii, o których opowiadam w tych zapiskach? Zadawałem sobie to pytanie czytając wspomnienia swoje ponownie, dumając nad wielością przeżyć mego pokolenia, zaczynającego już szósty krzyżyk swej egzystencji.

Czas, w którym toczyły się walki nad Chałchyn-Gołem, jest czasem mojej młodości, momentem przed nawałą wydarzeń wielkich i tragicznych, których początkiem stał się Brześć, końcem - Berlin.

Mieliśmy już poza sobą Hiszpanię - pierwszą wojnę z faszyzmem, na którą gotowiśmy byli pójść wszyscy, lecz poszli tylko nieliczni ochotnicy.

Przed nami była wielka wojna ojczyźniana, w której każdy spełnił to, co powinien.

Wydarzenia nad Chałchyn-Gołem miały miejsce w połowie tego okresu. Tam, w dalekiej pustyni, walcząc ramię w ramię z Mongołami przeciwko Japończykom wdzierającym się do Ludowej Mongolii, armia pierwszego w świecie kraju socjalizmu spełniła orężnie swój internacjonalistyczny obowiązek. To dzięki temu - jak myślę - wydarzenia nad Chałchyn-Gołem nie idą w zapomnienie, chociaż swoją skalą, i doniosłością ustępują wielu przeżytych przez nas wydarzeniom późniejszym.

Wspomnienia moje o tamtym lecie i jesieni nad Chałchyn-Gołem nie są historią, są jedynie świadectwem jednego z naocznych świadków tych wydarzeń.

Pozostaje do wyjaśnienia, dlaczego wskazuję tu daty 1948 i 1968.

Sprawy ułożyły się tak, że dopiero po uporządkowaniu wszystkich swoich materiałów dotyczących wielkiej wojny ojczyźnianej byłem w stanie powrócić do początku - do Chałchyn-Gołu, i zapisać wszystko, co z tego czasu przetrwało w pamięci.

Do druku zaś przygotowałem te zapiski dopiero w 1968 roku.

W swoim czasie o wydarzeniach nad Chałchyn-Gołem mówiło się dość skąpo w prasie. A i w ciągu dalszych prawie trzydziestu lat bardziej lub mniej szczegółowe relacje o nich można było znaleźć jedynie w pracach historyków kampanii wojennych. Dlatego też nie bez pożytku będzie, mniemam, jeśli swoje zapiski poprzedzę bodaj krótką informacją historyczną.

W marcu 1939 roku militaryści japońscy wszczęli serię prowokacji na granicy mongolsko-mandżurskiej, dążąc do zagarnięcia

wschodniej części Mongolii i wyjścia na przedpola Zabajkala.

W odpowiedzi na te prowokacje nastąpiła w Mongolii wschodniej, w rejonie Tamcag-Butaku, koncentracja wojsk mongolskich i radzieckich, przybyłych tam na mocy układu o pomocy wzajemnej, zawartego między Mongolską Republiką Ludową a Związkiem Radzieckim.

Po kilku tygodniach działań rozpoznawczych, 28 maja 1939 roku, Japończycy przeszli do ofensywy przeciw trzykrotnie mniejszym siłom mongolskim i radzieckim, zajmującym pozycje obronne w pobliżu granicy, na wschodnim brzegu rzeki Chałchyn-Goł.

W wyniku ciężkich walk Japończycy zostali zatrzymani. Przez czerwiec toczyli bitwę o panowanie w powietrzu i przygotowywali się do nowej ofensywy.

Trzeciego lipca wielkie siły japońskiej piechoty przeprawiły się przez Chałchyn-Goł, ale po trzech dniach w rejonie góry Bain-Cagan zostały rozbite przez podciągnięte tam mongolskie i radzieckie jednostki pancerne i piechotę zmotoryzowaną.

Prawie przez cały lipiec trwały zaciekle walki. Odrzuceni za Chałchyn-Goł Japończycy ciągle ponawiali próby natarcia.

Z początkiem sierpnia walki na pewien czas ustały. Obie strony przygotowywały się do dalszych działań.

Ze swoich jednostek znajdujących się w rejonie Chałchyn-Gołu Japończycy sformowali 6 armię i zamierzali ruszyć do ofensywy 24 sierpnia.

Ale wojska radzieckie i mongolskie, dowodzone przez dowódcę korpusu G. Żukowa, uprzedziły nieprzyjaciela i 20 sierpnia przeszły do natarcia mającego na celu okrążenie i zniszczenie wszystkich jednostek japońskich, które wdarły się na terytorium Mongolii.

Już 23 sierpnia pierścień wokół japońskich wojsk został zamknięty i 31 sierpnia, po zaciekłych walkach, wszystkie znajdujące się w okrążeniu jednostki japońskie zostały zniszczone, zaś wojska radzieckie i mongolskie wyszły na linię 'granicy między Mongolią a Mandżurią.

W toku walk od maja do sierpnia wojska japońskie straciły 55 tysięcy żołnierzy, z czego nie mniej niż 25 tysięcy było zabitych.

Przez całą pierwszą połowę września toczyły się w rejonie Chałchyn-Gołu zaciekle walki powietrzne. Siedemnastego września w wyniku przeprowadzonych w Moskwie rokowań między W. Mołotowem a japońskim ambasadorem Togo Japończycy przerwali działania wojenne i wysłali parlamentarzysty. Na tym zakończył się konflikt zbrojny nad rzeką Chałchyn-Goł, który trwał sto dwadzieścia dziewięć dni - od 11 maja do 16 września 1939 roku.

W czerwcu 1939 roku ówczesny szef Zarządu Politycznego Armii Czerwonej, Mechlis, zaprosił do siebie grupę „pisarzy sił zbrojnych”, jak nas. podówczas nazywano, i zaproponował wyjazd na lato i

jesień do różnych jednostek Armii Czerwonej. Wszyscy wówczas wyraziliśmy chęć wyjazdu nad Chałchyn-Goł, ale skierowano tam tylko Sławina, Łapina i Chacrewina, najwidoczniej dlatego, że ci już znali Mongolię. Wyjechali oni w ślad za Stawskim, który udał się tam wcześniej. Ja miałem jesienią jechać do jednostki stacjonującej na Kamczatce. Ale w drugiej połowie sierpnia dostałem nagle wezwanie z Zarządu Politycznego do Kuzniecowa, zastępującego Mechlisa, który przebywał wtedy nad Chałchyn-Gołem. Zapytano mnie, czy chciałbym pojechać do Mongolii. Odpowiedziałem, że jestem gotów jechać.

Kuzniecowa - pamiętam to jak dziś - zapytał:

- Więc nic nie stoi na przeszkodzie?

Oświadczyłem, że nic.

Dowiedziałem się potem, że wezwano mnie dzięki temu, iż Ortenberg, redaktor gazety wydawanej w zgrupowaniu armijnym walczącym nad Chałchyn-Gołem, zadeszował o przysłanie „jednego poety”. Gdy wyraziłem gotowość wyjazdu, okazało się, że trzeba jechać jeszcze dzisiaj, ekspresem odchodzącym o piątej po południu. Wszystko to zaś działo się między dwunastą a pierwszą. Jakoś tam jednak zdążyli wypisać mi bezpłatny bilet i wydać pieniądze. Tylko na pobranie umundurowania zabrakło czasu; oznajmiono mi, że dostanę je na miejscu.

Po pięciu dobach przybyłem do Czyty, a po upływie następnej doby leciałem na pokładzie cywilnego samolotu do Tamcag-Bułaku - miasteczka na tyłach, gdzie stał drugi rzut radzieckiego zgrupowania armijnego działającego w rejonie Chałchyn-Gołu.

Podczas lotu pilot wyszedł z kabiny i zwracając się do nas powiedział, żebyśmy „obserwowali powietrze”. Długo obserwowałem powietrze, ale nie znajdowałem w nim nic szczególnego; ze zdziwieniem stwierdziłem tylko, że pozostali pasażerowie też pilnie patrzą i zapewne też nic specjalnego nie widzą.

Później dopiero wyjaśniono mi, że chodziło o obserwowanie, czy nie ukażą się na niebie japońskie myśliwce. To jednak wówczas nawet mi przez myśl nie przeszło.

Do Tamcag-Bułaku dolecieliśmy o zmierzchu. Lecieliśmy tam, nad jednostajnym żółtozielonym stepem, ze trzy lub cztery godziny lotem koszącym: dosłownie spod samolotu wyskakiwały stada kóz i przerażone hałasem gęsi i kaczki.

Miasto Tamcag-Bułak wyglądało dość dziwnie: były to trzy, może cztery gliniane domy, podobne raczej do szop, i ze trzy setki małych, wielkich i średnich jurty.

W nocy wyfasowałem umundurowanie. Zdziwiłem się, dlaczego pancerniackie, szare. Widać nie mieli innego na mój wzrost. Dostałem furażerkę, buty, pas z pustą kaburą: broni też nie było.

Ktoś jadący rankiem do sztabu zgrupowania armijnego do Chamar-Daby, odległej od Tamcag-Bułaku o przeszło sto kilometrów, obiecał, że weźmie mnie z sobą do Bain-Burtu - miejsca, gdzie znajdowała się redakcja. Rano Tamcag-Bułak wyglądał jeszcze nędzniej niż wieczorem: dookoła rozpościerał się suchy, żółtozielony, bezkresny step.

Jechaliśmy. Po raz pierwszy widziałem wtedy znane mi jedynie z ilustracji miraż: to z lewej, to z prawej strony przesuwały się lasy i jeziora.

Drogi nie było właściwie żadnej; stanowiły ją zwykłe koleiny wyciśnięte w stepie, co prawda na całej długości idealnie gładkie i równe; gdziekolwiek tylko przez pół kilometra lub kilometr nieznośnie trzęsło - droga przecinała wówczas pasma solnisk.

A nad naszymi głowami przelatywały grupy samolotów. Na front.

Po jakichś dwóch godzinach dotarliśmy do Bain-Burtu. Właściwie nie był to punkt, jakie się oznacza na mapie. Przed konfliktem znajdowała się tutaj zwykła placówka graniczna (sześćdziesiąt kilometrów od granicy), składająca się z kilku jurty. Teraz placówki tu nie było, stał natomiast długi namiot, w którym mieściła się drukarnia, oraz trzy lub cztery jurty mieszkalne. Opodal, o kilometr, widniały jurty i namioty szpitala polowego.

Mój towarzysz podróży wysadził mnie przed jurtą, oznajmił: „Jesteśmy na miejscu” i, zawróciwszy samochód, odjechał.

Uchyliłem zasłony i wszedłem. Pośrodku jurty stał stół, a dookoła cztery łóżka. Na jednym z nich siedział Stawski, na drugim redaktor gazety armijnej, komisarz pułku Ortenberg - człowiek, z którym później na długi czas połączyła mnie współpraca i przyjaźń, a który w pierwszej chwili bardzo mi się

nie podobał: wydało mi się, że jest oschły i zgryźliwy. Powitał mnie szorstko i krótko:

- Przyjechaliście? Bardzo dobrze. Będziecie spali w sąsiedniej jurcie, razem z pisarzami. A teraz trzeba jechać na front. Wołodia, weźmiesz go na front?

Stawski odparł, że weźmie.

- No, to pojedziecie od razu na front. Proszę iść, zostawić swoją walizkę.

Udałem się do sąsiedniej jurty nieco oszołomiony. Tam powitali mnie serdecznie Sławin, Łapin i Chacrewin. To oni, jak się okazało, doradzili redaktorowi, by poprosił o skierowanie tu poety. Uczynili to nie tyle z miłości do poezji, ile przez instynkt samozachowawczy, gdyż dociekliwy Ortenberg dowiedziawszy się, że w młodości pisali wiersze, już kilka razy (próbował ich zmusić, aby się tym zajęli dla gazety. Wiedzieli, że jakiś poeta jedzie, ale kto - nie wiedzieli.

Po kwadransie wsiadłem wraz ze Stawskim do emki i pojechaliśmy na front. Wóz prowadził Stawski, kierowca ulokował się na tylnym siedzeniu.

Kilka słów o Stawskim, z którym spędziłem pierwsze w moim życiu trzy dni na froncie i który przez to stał się niejako moim „chrzestnym ojcem”.

O Stawskim jako o człowieku, jak pamiętam, były bardzo odmienne opinie. Jedni nie lubili go. Inni - zwłaszcza wielu wojskowych - darzyli go trwałą sympatią i szacunkiem. Jeszcze inni, wspominając Stawskiego, mówili o nim raz dobrze, raz źle, lecz było to zawsze szczerze.

Sądzę, iż słuszność mieli właśnie ci ostatni, zresztą sam też należę do ich grona. Był to wprost jaskrawy przykład człowieka, którego uszlachetniała atmosfera wojny i niebezpieczeństw dzielonych z kolegami. Dzięki nim zmieniał się on tak dalece, że był zupełnie inny niż w zwykłych warunkach pokojowych, kiedy to przybierał zawsze nieco protekcyjalny ton i rad był imponować wielce ważnymi znajomościami.

Zetknąłem się z nim po raz pierwszy w czasie moich studiów w Instytucie Literackim. Odniosłem wtedy wrażenie, że jest to człowiek ordynarny i niesprawiedliwy, a uważający się za szczerze życzliwego dla wszystkich i partyjniaka nie myślącego się absolutnie nigdy. Połączenie tych cech sprawiało wrażenie jakiejś nieuchwytniej hipokryzji. Nie dostrzegałem w nim nic dobrego i miałem realne podstawy sądzić, że i on ma podobny stosunek do mnie.

Ale nad Chałchyn-Gołem obrał niespodziewanie inny, gderliwo-opiekuńczy ton i w ciągu paru dni stał mi się przyjacielem i opiekunem - bardziej doprawdy dbał o moje bezpieczeństwo niż o własne. Kryła się w nim prawdziwa życzliwość, prosta, niekłamana koleżeńskość i dobrotliwa troska.

A .później, .po Chałchyn-Goł i Finlandii, zetknąłem się z nim znowu w Moskwie... I znowu był zupełnie inny. Sądzę, iż trochę złościło go, że ani swoją pozycją, ani znajomościami, ani zasługami, ani autorytetem pisarza-frontowca nie mógł przełamać pewnego chłodu, ledwo wyczuwalnego, a jednak tkwiącego w komplementach, kiedy mówiono o nim jako o pisarzu.

Lecz to jedynie szczegół dotyczący ówczesnego jego nastroju. Istotne było, że znowu miałem przed sobą zadufanego w sobie gburę, pyszałka wypowiadającego otwarcie swoje sądy o innych.

A potem nadeszły lata 1942-1943. Wielokrotnie spotykałem wtedy na froncie ludzi pióra, a jeszcze częściej - nie parających się piórem dowódców dywizji i pułków, którzy mówili, że właśnie wtedy a wtedy był z nimi Stawski. Mówili o nim bardzo dobrze, serdecznie, z szacunkiem dla jego odwagi i prostoty. A muszę stwierdzić, że do naszej braci literackiej, minio iż przyjmowana była z całą żołnierską gościnnością, odnoszono się później, we wspomnieniach surowo: brano na języki i nie daj Boże, jeżeli jakaś skaza! Zauważyli od razu i długo wypominali. Widocznie więc tam, na pierwszej linii, Stawski był znowu prostym, życzliwym człowiekiem.

Zginął w 1943 roku. I gdyśmy w swoim środowisku o nim mówili, przypominały mi się jednocześnie dwie osoby: jedna - ordynarna, nieżyczliwa, nadęta; druga - będąca uosobieniem troski, prostoty, serdeczności. Wspominałem je - i obie naraz, i każdą z osobna.

Więc co to było? Czyżby w bezpośrednim zagrożeniu człowiek szlachetniał wyzbywając się wszelkiej małostkowości i zła, nawet głęboko zakorzenionego? Czy też po prostu sprawiała to sytuacja: okopy, pole, przez które trzeba było się czołgać, schron, peleryna, na której stała otwarta nożem puszką konserw i leżały dwa kawałki chleba - twój i mój. Może- to właśnie nie pozwalało nabrzmiewać w gardle słowom nadętym i kłamiwym, i dzięki temu słyszało się, że mówi po prostu towarzysz, a nie „wielka osobistość”? Trudno odpowiedzieć na to pytanie, ' w każdym razie wszystko było tak, jak tu

wspominam.

Obecnie już nie mogę przypomnieć sobie szczegółowo, jak przebiegły moje pierwsze dni nad Chałchyn-Gołem. Pamiętam, iż znajdowałem się wśród rozgrzanego ogromnego stepu, po którym jechał Stawski, z imponującym wyczuciem zjeżdżając z jednej koleiny w inną, a było ich mnóstwo. Powodzenie natarcia było już pewne. Od dnia, w którym nasze wojska przeszły do natarcia, walki toczyły się już siódmy dzień, a dziesiątego dnia było po wszystkim. Wojska radzieckie w rejonie wzgórza Nomunchan-burt-obo zamknęły pierścień i zdobywały teraz wzgórza: Zielone, Piaskowe i Remizowowskie - ostatnie punkty obrony Japończyków.

Pojechaliśmy najpierw do sztabu zgrupowania armijnego znajdującego się na Chamar-Dabie. Było to wzniesienie nieznacznie górujące nad stepem, o dosyć spadzistych zboczach i rozchodzących się w różnych kierunkach krętych wąwozach, jakie spotyka się nad górnym Donem, tyle że te były zupełnie nie zalesione. W zboczach wyrte były liczne schrony, gdzieś tam zaś stały jurty osłonięte od góry maskującymi przed lotnictwem sieciami z trawą.

Stawski poszedł do dowództwa dowiedzieć się czegoś o sytuacji i dokąd mamy jechać, a ja długo, z godzinę chyba, siedziałem obok jakiejś jurty, w której mieścił się, jak sądzę, wydział do akcji w wojskach nieprzyjacielskich. W ciągu tej godziny kilkakrotnie wchodził do niej ludzie z różnymi trofeami: notesami, plikami papierów i zdjęć, które tam zostawiali.

W jurcie siedział jakiś obojętny na wszystko lejtnant i sortował przyniesione rzeczy, odkładając ważne na stół, a nieważne rzucając na ziemię. Na podłodze wałały się fotografie. Japończycy, jak to stwierdziłem później, lubują się w zdjęciach, prawie w -każdej żołnierskiej torbie znajdowano ich dziesiątki: podobizny mężczyzn, kobiet, ludzi starych - pewnie rodziców, zdjęcia japońskich domków, ulic, widokówki z Fudzi-jamą, z kwitnącą wiśnią - wszystko to grubą warstwą zaścielało jurte, i podchodzący do stołu, przy którym siedział lejtnant, deptali to wszystko nie zwracając żadnej uwagi na to, co deptają.

Było to moje pierwsze i bardzo mocne wrażenie z wojny. Wrażenie ruchu wielkiej maszyny, gwałtownego, bezwzględnego pędu wydarzeń, w którym - myśląc już nie o innych, ale o sobie - czuje się nagle zamieranie serca, żal samego siebie, swego ciała, które może zostać tak łatwo zniszczone, żal swojego domu, swoich bliskich, związanych właśnie z tobą, dla których jesteś czymś bardzo wielkim - wypełniasz ogromną część świata, gdy tymczasem po tobie pozostać może jedynie rozdeptana obcym butem garstka zdjęć.

Wtedy, nad Chałchyn-Gołem, nie miałem przy sobie żadnych zdjęć, ale kiedy w 1941 roku idąc na front wziąłem podobiznę drogiej mi kobiety, nie mogłem pozbyć się tego wspomnienia znad Chałchyn-Gołu - widoku jurty z fotografiami rozrzuconymi po ziemi i wrażenia ostrego niebezpieczeństwa, nie w stosunku do samego siebie, lecz w stosunku właśnie do owej fotografii umieszczonej w kieszeni bluzy - cząstki wszystkiego, co pozostało z domu, a co może być zabrane i podeptane obcymi butami.

Po upływie godziny Stawski przyszedł i pojechaliśmy. Powiedział, że jedziemy do przeprawy północnej, a stamtąd do Piaskowego Wzgórza, które akurat zdobywają.

Przeprawiliśmy się po wąziutkim moście przez Chałchyn-Goł - tę sporną rzekę, wzdłuż której Japończycy chcieli wytyczyć swoją granicę i przez którą przechodzili jeszcze w lipcu z zamiarem okrążenia całego naszego zgrupowania.

Walki toczyły się teraz dość daleko za rzeką, w odległości może ośmiu kilometrów. Słychać było stamtąd kanonadę z dział.

Koło przeprawy, po drugiej stronie, było kilka ziemianek. Weszliśmy tam, nie pamiętam po co, i wówczas niedaleko od nas Japończycy rozpoczęli nalot na przeprawę.

Po raz pierwszy widziałem bombardowanie. Miałem wrażenie, jakbym nagle ujrzał na horyzoncie czarne zarośla. Potem pojechaliśmy dalej. Japończycy znów bombardowali, tym razem zupełnie blisko. Zatrzymaliśmy wóz i rzuciliśmy się do rowu przeciwlotniczego. Pamiętam, zląkłem się i w zdenerwowaniu trafiłem nie do rowu, lecz do jakiegoś leja, głębokiego, a więc - sądziłem - bezpiecznego. Gdyśmy wyleźli, Stawski się złościł, że się od niego odłączyłem, powiedział, abym się trzymał blisko, wreszcie mnie wyśmiał, gdy się usprawiedliwiałem, że lej był bliżej i był głęboki. Wyśmiawszy moje pojęcia o bezpieczeństwie, jął mi cierpliwie wyjaśniać, co to jest rów

przeciwnie, dlatego musi być wąski i dlatego jest bezpieczniejszy niż lej.

Znowu jechaliśmy dalej przez step. Dotarliśmy do stanowisk dywizjonu artylerii, skąd zamaskowane siatkami działa kładły ogień na grzbiet żółtego wzgórza widniejącego niedaleko, o jakieś trzy kilometry. Było to właśnie Wzgórze Piaskowe.

Ale ostrzeliwał je nie tylko ten dywizjon - strzelało jeszcze kilka innych, toteż nieco wklęsły niby krater wulkanu grzbiet wzgórza stawał w gejzerach wybuchów i dymił nieprzerwanie. Przywodziło to na myśl czynny wulkan, zwłaszcza gdy się patrzyło przez lornetkę. Mimo że jeszcze z ławy szkolnej wiedziałem, iż jest różnica pomiędzy szybkością światła i dźwięku, niejednocześnie ukazywanie się kłębu eksplozji na grzbiecie wzgórza i usłyszenia jej odgłosu wbrew mojej wiedzy dziwiła mnie przez cały ten pierwszy dzień.

Od artylerzystów przedostaliśmy się do piechoty; był to pułk Fieduninskiego. Fieduninski później, podczas wojny ojczyźnianej, dowodził armią, tu zaś był dowódcą pułku. Dzień przedtem został ranny, przy czym, zdaje się, w niepolityczne miejsce. W każdym- razie żartowano z tego powodu i powtarzano jego własne gniewne dowcipy.

Pułkiem dowodził major, człowiek małego wzrostu. Pamiętam jego hełm i wybrudzony płaszcz, niezgrabnie ściągnięty pasem, fałdujący się na plecach. Miał szczeciniasty siedmiodniowy zarost, nie golił się pewno od początku natarcia. Wychudła, znużona twarz, zapadnięte oczy. Nazywał się chyba Bielajew, nie pamiętam zresztą, może się mylę. Był zastępcą dowódcy pułku do spraw wyszkolenia, a dowodzenie wziął na siebie, gdy pułkownik został ranny. Jego pułk nacierał na Wzgórze Piaskowe atakiem czołowym. Teraz pułk posunął się nieco i przesunęło się stanowisko dowodzenia.

Zostawiliśmy samochód, jako że dalej nie można było jechać: teren był pod ostrzałem. Ruszyliśmy razem z majorem ku nowemu stanowisku dowodzenia. Z rzadka gwizdały pociski. Wydawało mi się, że to gdzieś daleko, i aż się zdziwiłem, gdy jeden pacnął blisko nas wzbijając fontannę piasku.

Przeszliśmy przez otwartą przestrzeń, potem osłoniętą, potem jeszcze raz przez otwartą, ale więcej do nas nie strzelano. Przedostaliśmy się na grzbiet niskiego a długiego pagórka, gdzie się znajdował właśnie przed chwilą zdobyty japoński schron. Wokół tego schronu, za grzbietem fałdy, znajdowało się stanowisko dowodzenia pułku, zaś stanowisko dowodzenia batalionu, który tutaj był przedtem, wysunęło się jeszcze o sto kroków do przodu.

Wzgórze było stąd dobrze widoczne. Właściwie były tam dwa wzniesienia: jedno, trochę większe, nieco dalej, drugie zaś, mniejsze, bliżej, o jakieś trzysta, może czterysta metrów od nas.

Zapadał już, zmierzch. Przechodzili ranni. Szedł mały sierżant, z ręką na temblaku, spocony, zarośnięty.

- I ty jesteś ranny? - zagadnął major. Tamten kiwnął głową, zaklął pod adresem Japończyków i nie zwracając na nikogo uwagi poszedł dalej.

- Był dowódcą kompanii - powiedział major. - Wszyscy dowódcy w kompanii zabici.

Jakoś nie od razu zauważyłem zabitych Japończyków. A było ich wielu: kilku leżało w kolistych okopach z boku od nas, kilku na wzgórkach, dość dużo trupów leżało poniżej wzgórzka - zapewne zwalono je tam po wyciągnięciu z okopów.

Potem dostrzegłem również naszych. Byli przykryci płaszczami. Leżało ich pięciu czy sześciu na wzgóreczku. Sądziłem z początku, że odpoczywają. Zdziwiło mnie tylko, że mają takie długie nogi. Ale to byli zabici. Potem podjechał czołg i przywiózł jeszcze jednego - dowódcę kompanii. Dowieziono go na stanowisko dowodzenia pułku, zdjęto z pancerza czołgu, złożono na ziemi. Czołgiści spieszenie odjechali tankować paliwo.

Nie pamiętam dokładnie wszystkiego, co działo się tego dnia, a boję się poplątać szczegółów i tego, i dwóch następnych: wszystkie owe trzy dni stopiły mi się jakoś w jeden.

Stawski, mimo iż był zaprzętnięty tym, co się działo, wyjaśniał mi wciąż, co, gdzie, jak i dlaczego, przy czym wcale nie drwił z mego braku doświadczenia, wyjaśniał wszystko serio i dokładnie.

Nadciągała noc. Ulokowaliśmy się do spania w mizernych krzaczkach koło okopów. Głupio się tu wybrałem - bez płaszcza. Stawski oddał mi swój płaszcz-namiet i - bardzo jakoś troskliwie - okrył nim. Spałem mocno, lecz krótko, chyba ze dwie godziny. Ocknąłem się przed świtem i stwierdziłem, że ulokowałem się pechowo: to, co wziętem za kępę, było stopami na wpół przysypanego ziemią japońskiego żołnierza; od trupa zalatywał fetor; może dlatego się obudziłem. Zmieniłem miejsce, ale

już nie mogłem zasnąć.

Ledwo nastał świt, rozpoczęło się natarcie. Przenieśliśmy się na stanowisko dowodzenia batalionu - mały wzgórek z japońskimi okopami. Było ciasno, gdyż kręciło się ,tu pełno ludzi. Przyszedł tu również komisarz dywizji - zmizerowany osobnik o wyglądzie południowca, strasznie cierpiący z powodu owrzodzenia żołądka. Był aż biały. Przez cały czas zaprzętała go walka, wydawał nawet dyspozycje, czułem wszakże, że nie myśli o walce i o niebezpieczeństwie - ból, który go męczy, jest silniejszy.

Do najbliższego pagórka było od nas ze dwieście metrów. Biły weń nasze działa. Pagórek ów utrudniał podejście ku wzniesieniu. Zdobyć go umożliwiłoby rozpoczęcie szturm dużego wzgórza.

Obserwowaliśmy przez cały czas ów pagórek, skąd Japończycy ustawicznie ostrzeliwali nasze stanowisko dowodzenia batalionu. Pociski niosły się tuż nad daszkiem okopu i niekiedy zarywały się w ziemię. Jakiś żołnierz, który się zbyt wychylił, został zabity na miejscu. Odnieśli go do tyłu i tak samo jak tych, którzy wcześniej zginęli, przykryli płaszczem.

Co pewien czas wychylałem się, usiłując jak najgłębiej nasunąć hełm, by zmniejszyć w ten sposób do minimum nie osłoniętą część czoła między krawędzią hełmu a oczami. Wydawało mi się, że dzięki temu będzie mniej strasznie, a patrzeć chciało się bez przerwy. Nagle Stawski krzyknął: - Patrz, patrz! Wysunąłem się: z okopów na grzbiecie małego wzgórka wyskakowali Japończycy jeden, za drugim - było ich sporo - i biegli grzbietem wzgórka do tyłu, ku dużemu wzgórzu. Widocznie nie wytrzymywali ognia albo dostali rozkaz cofania się na główne wzgórze.

Komisarz wrzasnął coś nieswoim głosem i dwa działa stojące za nami przetoczyły się na wzgórek obok nas. Artylerzyści bardzo szybko jęli strzelać do biegnących o dwieście pięćdziesiąt metrów od nas, wyraźnie widocznych Japończyków. Pociski jeden po drugim biły prosto w gąszcz uciekających. Ktoś tam jeszcze biegł, padał, znowu biegł, wreszcie upadli wszyscy.

Może tak mi się tylko wydawało, ale dotychczas jeszcze mam wrażenie, iż widziałem, jak pocisk trafił w jednego z Japończyków. Pewnie wybuchł mu pod nogami, bo widziałem: człowiek, który przed sekundą istniał, znikł na moich oczach.

Po upływie pół godziny byliśmy już na tamym wzgórk, do którego strzelały nasze działa. Działa toczyły się dalej, piechota szła naprzód i pod wieczór całe Wzgórze Piaskowe zostało zdobyte. Nocowaliśmy na nim pośród wielu nie uprzątniętych trupów, wśród resztek cudzych rupieci - wachlarzy, papierzysek, menażek, maleńkich woreczków z drobnymi japońskimi sucharami, pęczków tak samo drobnych ryb i pośród tego dziwnego - japońskiego, jak wtedy mówiono - zapachu, będącego w istocie zapachem kreozotu: Japończycy dezynfekowali nim swoje okopy. Nazajutrz rano przedostaliśmy się w czołgu (inaczej nie można było) na drugi odcinek, gdzie zdobywano ostatnie wzgórze. Pojechaliśmy przez teren otwarty, gdzie wszystko było pod ostrzałem: między pułkiem, gdzieśmy nocowali, a pułkiem, do którego jechaliśmy, tkwił pagórek obsadzony przez Japończyków. Gdybyśmy nie jechali prosto, musielibyśmy objeżdżać teren bardzo daleko, wzdłuż pierścienia naszych wojsk, zamykającego okrążonych Japończyków.

Z jazdy czołgiem żadnych wrażeń, oprócz huku i licznych potłuczeń, nie doznałem. Wepchnięto mnie gdzieś i ktoś prawie że siedział na mnie. Absolutnie niczego nie widziałem. W jednostajny ryk i jazgot czołgu co pewien czas wdzierał się jeszcze jakiś łomot. Po dotarciu na miejsce okazało się, że ostrzeliwała nas artyleria, ale wyszliśmy z tego cało.

Pod tym ostatnim wzgórzem zeszedł nam prawie cały następny dzień. W końcu zdobyto je.

Chodziliśmy po okopach dosłownie zastłanych ciałami zabitych Japończyków. Nigdy potem nie widziałem tylu trupów w okopach. Widocznie ściągnęli tu kogo tylko mogli. Był to ostatni punkt zorganizowanego oporu. Wiele trupów leżało skłutych bagnietami. Bardzo dużo było rowów komunikacyjnych, okopów, schronów. Całe wzgórze było poprzecinane nimi wzdłuż i wszerz.

Z różnych stron dochodziły strzały. To ostatni żołnierze japońscy ostrzeliwali się w schronach. Nagle z nory tuż obok nas wylał Japończyk z podniesionymi rękoma, z omotaną bandażem, krwawiącą twarzą i szyją. Któryś żołnierz zerwał z ramienia karabin i rzucił się ku Japończykowi z bagnietem. Powstrzymano go.

- Pięć minut temu zabili naszego dowódcę kompanii - wyszli z podniesionymi rękami tak jak ten! - krzyczał żołnierz rwąc się do Japończyka.

Powstrzymano go jednak, a ktoś powiedział, że rzeczywiście w -tym miejscu pięć minut temu zabili

dowódcę kompanii - Japończycy tak samo wyszli z podniesionymi rękami i zabili!
Obchodząc okopy irytowałem się, że nie wydano mi pistoletu. Był w tym i strach, że zniemacka wyskoczy na mnie Japończyk i nic nie będę mógł zrobić, i po prostu chłopięca chęć, żeby iść z pistoletem w rękę, tak jak inni.

Bój dogasał. Na horyzoncie zieleniło się coś i czerwieniło. Ciągle czuć było zapach krezotolu. W oddali w dwu lub trzech miejscach słychać było serie cekaemów i wystrzały z karabinów. Gdzieś po małych wzgórzach, pagórkach i po stepie snuły się niedobitki Japończyków. Chyba ze trzy dni jeszcze rozprawiano się z nimi w drobnych potyczkach. Ale wojna już się kończyła, to się czuło.

Stawski zakomunikował, że nic ciekawego już się nie przewiduje i że możemy jechać do siebie do Bain-Burtu: trzeba dawać materiał.

- Co dasz? - zapytał.

Powiedziałem, że spróbuję napisać o bohaterach walk parę opowiadań wierszem.

Poszliśmy z powrotem. Stawski, jak się okazało, zdążył już polecić kierowcy, aby czekał z emką w pobliżu. Mieliśmy do przebycia tylko niewielki parów - tam na wzgórkach za krzakami stała nasza emka. Poszliśmy przez ów parów ciągnący się ze dwieście metrów. Stawski szedł z przodu, ja za nim, nikogo więcej nie było.

Raptem usłyszałem lekki gwizd i pacnięcie pocisku. Drgnąłem, skuliłem się, chciałem paść na ziemię, ale Stawski szedł dalej nie odwracając się. Poszedłem i ja. Jeszcze gwizd i pacnięcie. Potem - długa cisza. Stawski nie przyśpiesza kroku. Przebyliśmy jeszcze sto metrów. Jesteśmy już prawie u wzgórków. Zaraz się za nim skryjemy. Wtem gwizd i pacnięcie, znowu gwizd i pacnięcie, i jeszcze raz. Stawski idzie jednakowo spokojnie. Ostatnie dziesięć metrów i wreszcie jesteśmy za wzgórkami. Dopiero tu obraca się ku mnie i mówi:

- A jednak gdzieś zostali jacyś Japończycy. Kilka dni jeszcze będą polować na naszych. Samochód rzeczywiście czekał na miejscu, o którym mówił Stawski. Wracaliśmy. Robiło się coraz ciemniej. Na pochyłościach wzgórz i pagórków czerniały tu i ówdzie wraki naszych spalonych czołgów i pancerek. Koło jednego z nich zatrzymaliśmy się na chwilę. Stawski poszedł obejrzeć. Był to lekki samochód pancerny łączności. Wpadł przednimi kołami w japoński okop, lufa cekaemu utknęła w ziemi. Tuż obok wystawały buty.

Widocznie leżała tu także zabita załoga, byle jak zasypana piaskiem.

- Dobrnąłeś, mały - rzekł Stawski.

Wzruszyły mnie, pamiętam, te słowa skierowane do małej panczerki. Istotnie samochodzik ów wzbudzał jakąś tkliwość: taki malutki, a doszedł. Wbił się w okop i tu w ostatniej chwili poległ. Gdyśmy wsiedli do samochodu, przysłała mi do głowy myśl, którą od razu podzieliłem się ze Stawskim, iż dobrze byłoby, kiedy konflikt się skończy, zamiast wielkich zwyczajnych pomników, postawić w stepie na wysokim miejscu jeden z rażonych czołgów, pakancerowany odłamkami pocisków. Rozwalony, ale zwycięski.

Stawski gwałtownie zaoponował: jakież to monument zwycięstwa - zardzewiałe, rozbite, a więc pokonane żelastwo! Skoro czołg został rozbity lub uszkodzony, to co to za pomnik zwycięstwa? Sprzecaliśmy się dość długo i nie doszliśmy do porozumienia. Później, po ukazaniu się w druku mojego wiersza „Czołg”, podejmującego ten temat, spotkałem się przypadkowo w Moskwie ze Stawskim i wznowiliśmy spór. On nadal odmawiał mi racji. Chodziło - jednak oczywiście nie o to, kto z nas ma rację, ale o to, że do tego samego wniosku powoli dochodzili różni ludzie: podsuwała go sama wojna. Bo ileż takich pomników stoi dziś, po wojnie, w różnych miejscowościach! A i nad Chałchyn-Gołem stoi obecnie, jak mi mówiono, taki czołg-pomnik...

Po jakichś zgoła tajemniczych drogach wśród niesamowitych ciemności, nie odrywając się od kierownicy, Stawski w ciągu trzech godzin doprowadził samochód do Bain-Burtu, zrobiwszy około stu kilometrów przez otchłanie stepu.

Wysiedliśmy przy jurcie Ortenberga. Wszedłem tam pełen wrażeń, zmordowany, ale wzruszony i szczęśliwy, że wojna już się skończyła i niebezpieczeństwa są już za nami. Czułem się tak, jakbym i ja brał nieomal ze pełny udział we wszystkim, co się dokonało.

W jurcie było gorąco. Pośrodku stał żelazny rozpalony piecyk z rurą sterczącą do sufitu, zaś Ortenberg siedział w kompletnym umundurowaniu na pryczy i spał, oparty rękoma o stół, na którym leżała

świeża kolumna gazety „Gieroičzeskaja Krasnoarmiejskaja”. Co dzień o świcie Ortenberg wyjeżdżał na linię, wracał na noc i po wydrukowaniu gazety znowu jechał. Kiedyśmy weszli, podniósł głowę, spojrział sennymi oczyma na nas, potem na rozłożoną przed nim kolumnę i czerwonym ołówkiem - śpiąc, trzymał zawsze ołówek w ręku - z rozmachem przekreślił parę akapitów, po czym podumał, popatrzył na mnie, skreślił całą kolumnę i rzekł:

- Trzeba napisać wiersze do numeru. Ile zostawić linijek? Sześćdziesiąt starczy?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Sześćdziesiąt - zdecydowałem. - Zdjąłem tu jedną kolumnę. Proszę iść pisać.

W nocy napisałem pierwszy wiersz do naszej armijnej gazety. Były to moje pierwsze próby opowiadań i wierszy frontowych, poświęconych autentycznym ludziom o autentycznych nazwiskach. Nad Chałchyn-Gołem napisałem ze dwanaście takich utworów. W początkach wielkiej wojny ojczyźnianej na usilną prośbę Ortenberga napisałem jeszcze dwa takie wiersze - drukowano mnie już wówczas w „Krasnej Zwieździe” - po czym poniechałem pisania wierszy i przerzuciłem się na korespondencje wojenne.

Napisałem wiersze leżąc w jurcie na pryczy. Zaniostem Ortenbergowi. Siedział nad nową kolumną i znowu spał z rękoma i głową na arkuszu gazety. Gdy wszedłem, ocknął się, wziął wiersz i przeczytał.

- Dobrze. Potem zapytał:

- A czy tu wszystko zgadza się z faktami? Potwierdziłem.

- Prawdziwe nazwisko - może nie warto?

Jeszcze raz oświadczyłem, że wszystko jest zgodne z faktami i nazwiska można podawać.

- No, dobrze. Proszę iść spać. Wróciłem do swojej jurty, ale długo nie mogłem zasnąć. Moich współlokatorów - Lwa Sławina, Zachara Chacrewina i Borysa Łapina - nie było: wyjechali rano i jeszcze nie wrócili.

Padał drobny, ale silny deszcz. Porywany wiatrem leciał nie skośnie, lecz prawie równoległe do ziemi. Słychać było, jak siecze o wojłok.

A dookoła był czarny step, czarny absolutnie, bez jednego światełka, bez jednego prześwitu; nie było widać nawet sąsiednich jurty: brnęło się do nich na oślep. Trzeba było wyczuwać, gdzie się znajdują. Gdy uchylałem wojłoku zawieszonyego u wejścia do jurty, miałem wrażenie, że stoję pośrodku wielkiego czarnego pokoju bez okien.

Następnego dnia znowu pojechałem na linię frontu i w ciągu najbliższych dni jeździłem tam jak na dyżur. Jechałem wczesnym rankiem, wracałem późno w nocy. Pisałem wiersze, spałem dwie, trzy godziny, czasem na spanie zabrakło czasu, więc od razu - do samochodu i na front. Spałem przeważnie w drodze, lokując się z tyłu za kierowcą; podczas długiej jazdy mocno mi cierpły nogi. Walki właściwie już ustały. Wojska radzieckie i mongolskie doszły do granicy z Mandżurią i zatknąwszy flagi jęły budować fortyfikacje polowe, stawiać zasieki z drutu kolczastego, kłaść mało widoczne przeszkody w postaci skręconego w spiralę, cienkiego drutu, niewidocznego w trawie. Dość było zawadzić o niego nogą, żeby się zaplątać, nić mówiąc już o samochodzie, który momentalnie nawijał drut na osie i stawał. Kopano okopy, budowano schrony. Gdzieśgdzie wzdłuż granicy dochodziło do strzelaniny z Japończykami. Wciąż jeszcze likwidowano małe ogniska ich oporu na tyłach naszych wojsk i chwytano pojedynczych żołnierzy. Nocami Japończycy przedzierali się do swoich. Na miejscach niedawnych walk grzebano trupy. Tam gdzie drogi polowe biegły jarami, wśród wzgórz, wisiąca ciężka woń rozkładu.

Noce były chłodne, w ciągu dnia zaś wiał zawsze suchy wiatr albo wiatr z deszczem, który przenikał na wskroś.

Rozmawiając z żołnierzami - czołgistami i piechurami - stopniowo uzmysławiałem sobie przebieg walk toczonych w ciągu czterech miesięcy na tym bezkresnym trawiastym pustkowiu.

Od samego początku konfliktu byliśmy w bardzo ciężkiej sytuacji. Do najbliższej stacji kolejowej zaopatrzenia armii - Borzji - było ponad siedemset kilometrów, podczas gdy Japończycy już o sto kilometrów mieli chailarski węzeł kolejowy, a w odległości jakichś trzydziestu znajdował się końcowy punkt budowanej przez nich cholun-arszańskiej linii kolejowej.

Nawiasem mówiąc, budowa tej kolei stała się jednym z powodów konfliktu. Piętnaście mniej więcej kilometrów od granicy mongolsko-mandżurskiej zaczynały się pierwsze odnogi chingańskiego pasma

górskiego.

Japończycy budowali kolej wzdłuż owych odnóg z południowego wschodu na północny zachód, zamierzając podciągnąć ją ku naszej granicy, jak najbliżej Czyty.

Na odcinku Chałchyn-Gołu mongolska granica tworzyła wielkie wybrzuszenie w stronę Mandżurii, więc Japończycy musieli albo prowadzić kolej przez odnogi Chinganu, albo budować ją tuż w pobliżu granicy, w odległości armatniego strzału.

To im widocznie nie odpowiadało. Wywołując kolejną prowokację mieli w tym także cel praktyczny: chcieli zagarnąć całą strefę rzeki Chałchyn-Goł i przyległych wzgórz, aby uzyskać możliwość budowy strategicznego odgałęzienia kolei, którą musieli przerwać akurat przed tamcag-bułaćkim wybrzuszeniem.

Stamtąd, z odnóg chingańskiego pasma górskiego, widać było pewnie nasze przednie pozycje. Na wzgórzach ani jednego drzewa, gdzieniegdzie tylko drobne niskie zarośla; wije się wąska, głęboka rzeka Chałchyn-Goł i jej jeszcze bardziej kręty dopływ Chajastyn-Goł. Na zachód od Chałchyn-Gołu ciągnie się pasmo wzgórz i wzniesień, a dalej do Tamcag-Bułaćku, a potem przez trzysta kilometrów do Bain-Tumienia i przez pięćset kilometrów aż do Ułan Batoru, dawnej Urgi, rozciąga się bezkresny mongolski step.

Było coś dziwnego w tej wojnie, niepodobna była do czegokolwiek, z czym się spotkałem później. Była to w pełnym znaczeniu tego określenia wojna w pustyni. Z prawej i lewej strony ciągnęły się bezkresne, niczym nie osłonięte stepy, i tylko tu, na odcinku pięćdziesięciu - sześćdziesięciu kilometrów, (budowano wzdłuż pasma wzgórz lekkie fortyfikacje polowe. Kawaleria, jeźdźcy mogliby obejść to wszystko stepami, nałożywszy sto, a nawet dwieście kilometrów.

Z jednej i drugiej strony działało jakieś bezwzględne, trwałe uwarunkowanie, skoro czteromiesięczne, niesłychanie krwawe walki toczyły się właśnie na tym odcinku. Manewrując w granicach tej strefy przeciwnicy ani razu nie rozszerzyli jej więcej niż o kilka kilometrów.

Nieco ku północy znajdowało się niebieskawoszare jezioro Bain-Nur - chłodne, czyste, obrzeżone pasmem niskiej, cieszącej oczy zieleni i żółtych łąk piasku. To właśnie tam, w rejonie pogranicznej strażnicy, zaczęły się walki, które od razu jednak przesunęły się stamtąd dalej na południe, ku rzece Chałchyn-Goł. Zaś strażnica wraz ze swoim domkiem, z resztkami jakiejś ni to świątyni, ni to kaplicy pogańskiej i z niewysoką wieżą obserwacyjną, z której można było dojrzeć niedaleką japońską strażnicę, stała sobie w spokoju nienaruszona.

Nasze czołgi dotarły tu, nad Chałchyn-Goł, czterystukilometrowym marszem przez pustynię, z Undurchanu. Piechota także szła stepem kilkaset kilometrów. Nie było jej wiele: Radzieckie zgrupowanie armijne, o ile wiem, nawet w szczytowym momencie walk miało mniej piechoty niż Japończycy. Myśmy mieli trzy dywizje, Japończycy zaś - dwie i wiele oddzielnych batalionów policyjnych, kolejowych i innych, przeformowanych w piechotę, przy czym liczebnością japońska dywizja przewyższała radziecką przeszło dwukrotnie. Za to myśmy mieli więcej artylerii i o wiele więcej czołgów, przeciw którym Japończycy tylko raz spróbowali rzucić swoje nieliczne, marne pod względem technicznym jednostki pancerne.

Obie strony miały dużo samolotów. Przez pierwsze dwa miesiące przewaga była po stronie japońskiej, a my uzyskaliśmy ją dopiero w trzecim miesiącu, po zaciętej walce. W końcowym okresie walk mieliśmy bardzo silne lotnictwo. W ciągu pierwszej doby naszego natarcia w sierpniu rzuciliśmy do walki bez mała tysiąc samolotów. Nigdy już więcej nie widziałem tylu samolotów jednocześnie w powietrzu, co tam, w starciach nad stepem. We wrześniu, w czasie ostatniej walki powietrznej, gdy Japończycy dokonali ostatniego nalotu gwiazdowego na nasze lotniska, nad stepem uwijało się mrowie samolotów - kilkaset jednocześnie.

A dookoła była pustynia. Benzynę wozili wielkie cysterny. Takież cysterny rozwoziły wodę. Jeździły również autobusy centrali wojskowej. W ogóle pamiętam, że na tym froncie, zaopatrywanym z odległości siedmiuset kilometrów, było mnóstwo maszyn - całe tysiące.

Tuż obok naszej jurty w gołym stepie stał szpital armijny - dziesięć długich brezentowych namiotów. Douglasy i TB-3 ewakuujące rannych do Czyty lądowały w pobliżu szpitala, niekiedy kołowały tuż pod namioty; wynoszono stamtąd rannych, ładowano do samolotów i samoloty odlatywały. Zdatna do picia woda znajdowała się w rzece Chałchyn-Goł i w jeziorze Bain-Nur. A dalej ku tyłom na przestrzeni

wielu kilometrów znajdowały się jedynie białe słone jeziora, których woda nie nadawała się do picia. Wodę dowożono z daleka i oszczędzano.

Przebywałem najczęściej u czołgistów, w brygadzie Jakowlewa, jednego z pierwszych Bohaterów Związku Radzieckiego. Jakowlew zginął podczas ataku czołgów, jeszcze przed moim przyjazdem. Zabity został w chwili, gdy podrywał zaległą za czołgami piechotę.

Pamiętam swoje zdziwienie, gdy rozmawiałem z żołnierzami jednej z dywizji. W czasie jednej z takich rozmów dowiedziałem się, że jest to dywizja terytorialna, a moi rozmówcy trafili do niej bez jakiegokolwiek przeszkolenia. Władania karabinem uczono ich w drodze nad Chałchyn-Goł, w wagonie, a wieźli ich skądś z Uralu.

Nie wiem, może było to spowodowane tym, że wszystkie dywizje dalekowschodnie, od dawna doskonale wyszkolone, w oczekiwaniu na przeistoczenie się konfliktu w wojnę stały w miejscach swoich dyslokacji i nie mogły być przerzucone do Mongolii, a może też działo się to wskutek jakiegoś zamieszania, do jakiego tak często dochodzi na wojnie, zwłaszcza w pierwszych miesiącach...

Najczęściej zaglądałem do czołgistów batalionu Michajłowa, również jednego z pierwszych Bohaterów Związku Radzieckiego, podówczas majora, a później pułkownika. Michajłow poległ na wojnie ojczyźnianej, gdzieś pod Kalininem, gdzie dowodził dywizją pancerną. Zaprzyjaźniliśmy się. Podobał mi się ten pozornie łagodny, uległy, z temperamentu jednak gwałtowny człowiek, o łagodnym uśmiechu i oczach, które robiły się szalone, gdy wpadał w gniew. Był, jak się zdaje, drażliwy i ambitny, ale jednocześnie umiał przestrzegać granic skromności, które uważał za konieczne. Nie była to skromność wrodzona, wypływała z siły woli i zimnego rozsądku. Ale i to mi się w nim wtedy podobało.

W batalionie Michajłowa spędziłem wiele godzin, wypytując go o bitwę pod Bain-Cagan. 11 brygada Jakowlewa szczególnie wyróżniła się w tym starciu; przesądziło ono o wyniku pierwszego okresu walk nad Chałchyn-Gołem, udaremniło bowiem usiłowania Japończyków dążących do okrążenia naszych formacji. Potem, tuż przed wojną w 1941 roku, napisałem poemat „Daleko na Wschodzie”, będący w istocie opowieścią o marszu brygady Jakowlewa przez stepy oraz o tym natarciu pod Bain-Cagan, za które Michajłow otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego.

Na froncie nastąpiła stabilizacja, nie ustawały jedynie naloty bombowe i walki powietrzne. Pomykając stepem to na front, to z frontu, przyzwyczaiałem się do okrzyku: „Lotnik! Kryj się!”, choć myśliwce japońskie już nie mogły wtedy nadążyć z uganianiem się za wszystkimi naszymi wozami snującymi się po stepie.

Zdumiewał mnie ten step, będący raczej pustynią. W pobliżu frontu - żadnego ptaka ani zwierzęcia. Jedynie dalej, właśnie nie opodal naszej redakcji, tam gdzie była chińska rzeźnia i gdzie dokonywano uboju przypędzanego przez Mongołów bydła, było dużo orłów. Siedziały one tutaj niemal na każdym słupie telegraficznym, nie bały się samochodów, wzbijały się powoli, niechętnie. Z braku zajęcia często strzelano do nich i trafiano: były leniwe z obżarcia.

A na usypisku nad wielką jamą, gdzie walało się mnóstwo gnijących wnętrzności, orły uwijały się jak wróble na bruku. Było ich zawsze z kilkadziesiąt; prawie wcale nie zwracały uwagi na ludzi i samochody: odlatywały nieco i powracały do żarcia.

Dalej za naszym Bain-Burtem i Tamcag-Bułakiem, gdy się zjeżdżało z drogi, trafiały się kaczki i gęsi, zwłaszcza w lewo od drogi, w pobliżu słonych jezior widniejących na horyzoncie.

A tubylców prawie wcale nie było w tym rejonie. W ciągu mego pobytu nad Chałchyn-Gołem (nie mówię tu oczywiście o wojskowych: na południowym odcinku frontu, gdzie bywałem najczęściej, zajmowała pozycje jedna mongolska dywizja kawalerii, a na skrajnym północnym - druga) tylko raz spotkałem rodzinę aratów. Było to koło Tamcag-Bułaku. Szło kilka wielbłądów obciążonych jukami, a przy nich stary Mongoł i Mongołka.

Na apel rządu Mongolii cała ludność opuściła ten teren i przeniosła się w głąb kraju. Ułatwiało to, nawiasem mówiąc, zwalczanie japońskiego szpiegostwa. Początkowo Japończycy próbowali przerzucać szpiegów - cywilów udających tubylców - z Mongolii Zewnętrznej. A potem, kiedy ludność opuściła ten teren, każdy cywil napotkany w strefie działań wojennych stawał się podejrzany.

Pierwszego albo drugiego września byłem z Ortenbergiem na Chamar-Dabie. Zgromadziło się na tym wzgórzu wielu wojskowych. Właśnie nadszedł rozkaz z okazji zwycięstwa, likwidacji japońskiego

zgrupowania, z odznaczeniami i awansami. Słychać było ożywiony szmer rozmów; twarze wyrażały radość i powagę chwili...

W otoczeniu oficerów stał Sztern w mundurze dowódcy armii. Był poważny, oficjalny i uroczysty. Na piersi miał wiele orderów; połyskiwał i chrzęścił jego nowiutki pas z koalicyjką, błyszcząły pięknie wyczyszczone buty.

A obok stał lotnik, dowódca korpusu Smuszkiewicz, z powierzchowności zupełnie przeciwieństwo Szterna: odkryta kędzierzawa czupryna, podłużna, smutna twarz, szara kowerkotowa bluza i także spodnie, obie ręce założone po chłopsku za nisko zsunięty pas. Na gołych nogach sandały. Niedawno się rozbił i połamał nogi; nie mógł włożyć butów.

Mimo iż w pierwszych dniach września już na froncie nie strzelano, w sztabie odczuwało się niepokój. Czekano na informacje, co dzieje się u Japończyków. Różne chodziły słuchy, wszystkich niepokoiło pytanie, czy Japończycy uznają się za pobitych i na tym będą się starali zakończyć konflikt, czy też wciągną do walki nowe siły. Może nawet całą armię kwantuńską - a wtedy zacznie się coś wielkiego. Nasze wojska, stojące teraz biernie na wybrzuszeniu mongolskiej granicy, w razie rozszerzenia się konfliktu mogłyby się znaleźć w sytuacji głębokiego oskrzydlenia od strony bezkresnych, niczym nie osłoniętych stepów, gdzie koczowały jedynie podjazdy i patrolowały samoloty.

W czasie jednego z moich wyjazdów na Chamar-Dabę po raz pierwszy zetknąłem się w środowisku wojskowych z takimi samymi dyskusjami o talencie i zdolnościach, tak samo przy tym zaciętymi, jak wśród braci literackiej. Nie przypuszczałem, że się z tym spotkam na wojnie, i początkowo byłem zdziwiony.

Nie pamiętam, na kogo wówczas czekałem - na Ortenberga czy Stawskiego - siedziałem w którymś namiocie sztabowym i rozmawiałem z oficerami kawalerii. Jeden z nich - obecnie od dawna generał, a podówczas całkiem jeszcze młody pułkownik, który służył razem z Żukowem od czasów bodaj Konarmii - z przekonaniem i w ostrych słowach wywodził, że cały plan okrążenia Japończyków jest dziełem Żukowa: Żuków go sam ułożył i przedstawił, zaś Sztern nie brał w tym żadnego udziału. Żuków to talent i wszystko ma się właśnie tak, gdyż - wie to dokładnie - nikt oprócz Żukowa nie miał z tym planem nic wspólnego.

Rozmowa nie miała charakteru osobistego. Gdyby miała, nie warto byłoby jej wspominać. Słowa pułkownika tchnęły takim zaangażowaniem i bezapelacyjnością, jakimi często pobrzmiwały nasze rozmowy, gdyśmy, jako młodzi wychowankowie Instytutu Literatury, dowodzili kategorycznie talentu swoich ulubionych poetów i mistrzów, jednocześnie, bez zbytniego oglądania się na sprawiedliwość, dyskredytując wszystkich pozostałych...

Siódmego września Japończycy na naszej skrajnej prawej flance w okolicy wzgórze Irys-ujlin-obo dokonali próby sił jednym batalionem świeżo podciągniętej dywizji gwardii. Batalion zajął wzgórze nocą, a w ciągu dnia zginął na nim prawie cały, tracąc 496 ludzi. Nasze straty wynosiły zaledwie sześciu czy ośmiu poległych. Artyleria i czołgi zmiażdżyły Japończyków.

Następnego dnia (po noclegu gdzieś w innym miejscu) wpadł do redakcji Stawski i wywoławszy mnie z jurty powiedział tajemniczo:

- Zbieraj się bez żadnego gadania, nikomu ani słowa! Jedziemy, jest coś ciekawego!

Wsiedliśmy do samochodu. Na Chamar-Dabie dołączył do nas szef wydziału politycznego naszego zgrupowania, komisarz pułku Gorochow.

Teraz już we czterech: dwaj komisarze pułku, kierowca i ja - ruszyliśmy gdzieś na południowy, o ile mogłem wnosić przy swojej słabej orientacji, odcinek frontu.

Dotarliśmy tam przed nocą. W pewnym miejscu zagrodziły nam drogę sunące czołgi; szły prychając niebieskimi dymkami z tłumików i nader głośno jazgocąc w ciszy nocnego stepu. Przeszło ich dość dużo, ze czterdzieści chyba.

Podniecony Stawski przez cały czas pytał Gorochowa, coż by to mogło znaczyć, że czołgi idą nie w tę stronę, w którą powinny.

Od oficerów jadących samochodem za czołgami dowiedzieliśmy się, że planowana operacja została odwołana, nie pamiętam teraz, z jakich powodów: czy że Japończycy sami zaczęli odwrót, czy też z naszej strony weszły w grę jakieś racje nadrzędne.

A więc Stawski jechał tu dlatego, że miała tu nastąpić wielka operacja nocna - okrążenie nowo

przybyłej japońskiej dywizji gwardyjskiej, której jeden batalion już zginął na Irys-ujlin-obo. Odwołanie to zirytowało nas wszystkich: złościł się Stawski, nie taił rozdrażnienia Gorochow, a i ja byłem zdenerwowany. Zapewne wskutek tej irytacji Stawski zmylił kierunek i pierwszy i jedyny raz nad Chałchyn-Gołem zgubiliśmy drogę. Skręciliśmy raz i drugi, w końcu wszystko nam się poplątało i uwięźliśmy w piaskach. Jęliśmy więc ustalać, gdzie jesteśmy. Stawski długo się zastanawiał, po czym ze świetnym i tym razem, jakeśmy wkrótce stwierdzili, wyczuciem mruknął, że znajdujemy się akurat pośrodku - między stanowiskami Japończyków i 8 mongolskiej dywizji kawalerii, na samym końcu flanki.

- Bierzmy się do wyciągnięcia samochodu.

Zaczęliśmy wyciągać. Kilka razy siadaliśmy na piasku i odpoczywali. Wreszcie Stawski oświadczył, że jeśli do rana samochodu nie wyciągniemy i nie wydostaniemy się stąd, póki ciemno, będzie źle, nie ma więc co marudzić. Wzięliśmy się znów do wyciągania. Udało się. Pojechaliśmy dalej w zupełnej ciemności.

Stawski wysiadł oznajmiając, że gdzieś tutaj - tak wynika z jego obliczeń - powinien znajdować się sztab jednego z pułków 8 mongolskiej dywizji kawalerii, którą odwiedzał tydzień temu. Zostawiliśmy kierowcę przy samochodzie i ruszyliśmy przed siebie, brnąc przez głębokie piachy, gramoląc się z wydmy na wydmy.

Wtem - jakiś ostry mongolski okrzyk. Odkrzyknęliśmy więc najpierw po rosyjsku, potem - wszystkimi, jakie znaleźliśmy, mongolskimi wyrazami, a znaleźliśmy ich ledwo kilka. W odpowiedzi na to usłyszeliśmy szczęk zamka. W mroku zamajaczyła sylwetka Mongoła.

Stanęliśmy. Z ciemności wynurzył się drugi żołnierz i tak samo szczęknął zamkiem. Stawski zaklął.

- Teraz oni nas jak nic zastrzelą - rzekł. Naraz Gorochow zawołał:

- Sztab! Sztab!

Na dźwięk słowa „sztab” karabiny opadły. Wartownicy obeszli nas z obu stron i krocząc za nami doprowadzili do sztabu. Stawski wdał się w dłuższą pogawędkę ze swoim znajomym, radzieckim doradcą w tej dywizji. Przez pewien czas przysłuchiwałem się ich rozmowie o walkach toczonych w maju i czerwcu, w końcu zapadłem w drzemkę. Stawski obudził mnie i pojechaliśmy z powrotem. Tak to zakończyła się fiaskiem ta ciekawie zapowiadająca się wyprawa.

Następnego dnia z Ortenbergiem, Łapinem i Chacrewinem byłem u Żukowa. Ortenberg chciał się dowiedzieć, na ile zdaniem Żukowa realne są wieści o zbliżającej się ofensywie Japończyków, na co mamy się orientować przy redagowaniu gazety.

Sztab po dawnemu stał na Chamar-Dabie. Schron Żukowa był nowy, widocznie dopiero wczoraj lub przedwczoraj zbudowany ze świeżych bierwion.

Jeśli już o bierwionach mowa: opowiadano mi, jak to na północnym odcinku frontu, gdy do budowy umocnień polowych na granicy potrzebowano drewna, jeden ze szwadronów stojących na flance mongolskiej dywizji kawalerii, obszedłszy Japończyków ścieżkami, przedostał się na- ich głębokie tyły, ściał na którymś odcinku chailarskiej linii kolejowej pół setki słupów telegraficznych i wlokąc po ziemi dostarczył je do naszych stanowisk.

Więc schron był nowiutki, schludny i solidnie zrobiony - z korytarzykiem, firaneczką i bodaj łóżkiem zamiast pryczy.

Żuków siedział w rogu przy niewielkim stole podobnym do biurka. Pewno wrócił z łaźni przed chwilą, gdyż był zaróżowiony, rozgrzany, bez bluzy, w żółtej flanelowej koszuli i bryczesach. Zwalista pierś napinała koszulę. I choć był niewysokiego wzrostu, siedząc wydawał się bardzo tęgi i wielki.

Usiedliśmy dookoła, Ortenberg rozpoczął rozmowę. Żuków milczał. Niecierpliwym Łapin zaczął zadawać pytania. Żuków wciąż milczał, spoglądając na nas i myśląc, jak sądzę, o czym innym.

W tym momencie wszedł jeden z oficerów zwiadu z meldunkiem. Żuków z ukosa przejrzał meldunek, obrzucił oficera gniewnym, leniwym spojrzeniem i rzekł:-

- O tych sześciu dywizjach - bujda: stwierdziliśmy dwie. Wszystko pozostałe też bujda. Chodzi wam o prestiż... O żłób im chodzi - burknął do Ortenberga, ignorując obecność oficera.

Zapanowało milczenie.

- Czy mogą odejść? - zapytał oficer.

- Proszę. I powiadomcie tam, u siebie, żeby nie fantazjowano. Jak macie luki, to uczciwie o tym

mówcie i nie pchać mi się tu z nie istniejącymi japońskimi dywizjami.

Po wyjściu oficera Żuków powtórzył:

- O żłób im chodzi. Zwiadowcy. – Potem obrócił się do Łapina: - Pytacie, czy znowu będzie wojna?

Borys z pośpiechem oświadczył, że nie chodzi tu o prostą ciekawość, lecz że właśnie wraz z Chacrewinem mają jechać na Zachód, ponieważ tam, na Zachodzie, jak się wydaje, zanosi się na coś poważnego. Jeśli zaś tutaj, na Wschodzie, będzie się coś działo, to nie pojedą. O to właśnie pyta. , -

Nie wiem - dość posępnie powiedział Żukow. Po chwili powtórzył: - Nie wiem. Sądzę, iż oni nas straszą. - I dodał: - Sądzę, że tutaj niczego nie będzie. Takie jest moje zdanie.

„Moje” powiedział z naciskiem, jak gdyby odcinał się od kogoś, kto sądził inaczej.

- Myślę, że możecie jechać - rzekł tonem sugerującym koniec audiencji.

Wyszliśmy. Ortenberg jeszcze na kilka chwil został, po czym podążył za nami. Kwestia odjazdu Łapina, Chacrewina i Sławina została rozstrzygnięta. W dzień czy też dwa później polecieli samolotem do Ułan-Bator i dalej - ku Moskwie.

Jurta nasza opustoszała. Wtedy też Stawski przeniósł się od Ortenberga gdzieś na Chamar-Dabę, ja natomiast przeniosłem się do Ortenberga. Mieszkał tam z nami świeżo przybyły korespondent „Prawdy”, Mikołaj Krużkow. Zaczynałem już czuć się dziennikarzem, toteż przyjazd Krużkowa wziąłem za dobry omen. Skoro bowiem „Prawda” skierowała go tutaj z Moskwy po zakończeniu walk, to z pewnością będzie się tu jeszcze coś działo.

Trafiłem na ostatnie dni wojny, więc pragnąłem, aby wydarzyło się tutaj coś jeszcze i abym od samego początku w tym uczestniczył.

W pragnieniu tym można by co prawda dojrzeć także pewien brzydki rys awanturnictwa. Powiem wszakże na swoje usprawiedliwienie, że moje pierwsze wrażenia z walk nad Chałchyn-Gołem różniły się bardzo od wszystkiego tego, co nawarstwiła w mojej duszy wojna 1941 roku.

Wojna ta była ogromem walących się na nasze głowy nieszczęść, które dosłownie od pierwszych dni odczułem jako tragedię. W 1941 roku, zwłaszcza podczas strasznych pierwszych miesięcy, uczucie niebezpieczeństwa i obawa o własny los były znacznie mniejsze. Czułem oczywiście lęk fizyczny, ale to było zupełnie co innego. Chcę powiedzieć, że w 1941 roku niemal wcale nie myślałem o sobie, myślałem o tragicznym losie ojczyzny, o tragedii, która ją dotknęła. Co będzie? Jak to, cofamy się? Czyżby to było możliwe, czyżby Niemcy mogli nas pokonać? Co to znaczy?

Tam, nad Chałchyn-Gołem, nie odczuwałem tego wszystkiego. Wszystko, co się tam działo, przyjmowałem jako wojnę, która godziła w nasze zobowiązania, nasz prestiż, nasz honor, godziła w moje przeświadczenie, że nasza armia jest najlepsza spośród wszystkich innych. Tam następowała weryfikacja tego przeświadczenia, ale przy tej weryfikacji nie wchodziły w grę kwestie najdonioślejsze: losy ojczyzny, bliskich i przyjaciół, naszych miast, naszej ziemi - żadna z nich nie została postawiona na ostrzu noża. Wojna nad Chałchyn-Gołem była niewspółmierna z kataklizmem, który potem nastąpił. Radość sprawiało, że myśmy w niej zwyciężyli. Pragnęło się nawet, by Japończycy jeszcze raz się pchali, byśmy ich jeszcze raz rozbili. Nie odczuwałem w tej wojnie tragizmu, znajdowałem romantyzm. Było to odczucie podobne do tego, jakiego doznawałem przedtem dowiadując się, że ten czy ów z naszych bije się w Hiszpanii.

Tyle, że wówczas mi się nie powiodło - wbrew swoim chęciom nie dostałem się do Hiszpanii, tu zaś szczęście dopisało i trafiłem nad Chałchyn-Goł.

Już i wtedy oczywiście byłem na tyle rozgarnięty, że dostrzegałem związek między wydarzeniami w Hiszpanii i nad Chałchyn-Gołem z tym, co się działo na Zachodzie, gdzie Niemcy toczyły wojnę z Polską. Już wtedy kojarzyłem w swoim umyśle te związki, ale całym sercem i na własnej skórze odczułem je dopiero wtedy, kiedy się sam pogrążyłem owego 1941 roku w wielkiej tragedii całego narodu.

Nawiasem wspomnę, że już pierwszego dnia pobytu na froncie w 1941 roku zniechęciłem się definitywnie do poezji Kiplinga. Lubiłem je od dawna i uparcie, lubiłem jeszcze nad Chałchyn-Gołem. Zresztą i po 1941 roku Kipling pozostał dla mnie ciekawym poetą i nadał znajduję upodobanie w wielu jego wierszach.

Ale wojenna romantyka Kiplinga, wszystko, czym, pomijając istotę poezji, ujmował mnie w młodości, przestało naraz mieć jakikolwiek związek z tą wojną, którą widziałem, z- tym wszystkim, czego

doświadczylem. Wszystko to w roku 1941 wydało mi się nagle odległe, małe, świadomie przejawione, i przypominało łamiący się chłopiący bas.

A w 1939 tam, nad Chałchyn-Gołem, jeszcze lubiłem poezję Kiplinga!

Chyba właśnie tym drobnym przykładem mogę zilustrować samemu sobie swoją przemianę duchową w czasie od 1939 do 1941 roku.

Łapin, Chacrewin, Sławin wyjechali. Żegnaliśmy się nie wiedząc, kiedy zobaczymy się znowu. Teraz, po upływie dziesięciu lat, znów przypominają mi się ludzie, z którymi byłem tam, nad Chałchyn-Gołem. Przypomina mi się Ortenberg, którego już wtedy darzyłem nieśmiałą sympatią z pewną domieszką obawy i irytacji, a którego w latach wielkiej wojny pokochałem jako jednego z najbliższych przyjaciół. Ortenberg, zdręczający wszystkich i samego siebie, dokuczliwy, niespokojny, zawsze czuwający - okropna piła, to znów pocziwy zrzęda. Każde wolne pół godziny, niczym chłopiec, uczył się jeździć motocyklem. Jeździł nim wokół naszych jurt i raz po raz wywraçał się z łoskotem. Najpierw słyhać było ryk motoru, warkot, potem trzask - i cisza. Oznaczało to, że komisarz pułku znowu spadł z motocykla.

Przychodzą mi na pamięć i inni koledzy z redakcji. Wtedy znad Chałchyn-Gołu wszyscy wyszli cało, nikt nawet nie został zadraśnięty. Również i na wojnie z Finlandią nikt oprócz Stawskiego nie został ranny, chociaż połowa z nas brała w niej udział. A na następnej zginęli prawie wszyscy.

Poległ pod Charkowem grubas Misza Bernshtein, który wszędzie czuł się jak w domu i który na grubym brzuchu nosił zawsze dwa aparaty fotograficzne, człowiek wprost chyba organicznie pozbawiony uczucia strachu, obżartuch i spryciarz obozowy - umiejący znaleźć sobie miejsce do spania nawet w ziemiance, gdzie stał jedynie stół na dokumenty sztabowe i taboret, i Poległ, również pod Charkowem, Misza Rozenfeld.

Pod Lwowem banderowcy zabili Paszę Troszkina - nad Chałchyn-Gołem widziałam go tylko przelotnie - najodważniejszego, jak sądzę, spośród wszystkich naszych fotoreporterów, chociaż zawsze mi się wydawało, kiedy go obserwowałem, że czuł fizyczny lęk przed śmiercią wcale nie mniej niż ja, tyle że szybciej i bardziej stanowczo niż my wszyscy umiał go opanować.

Poległ pod Wielkimi Łukami Stawski.

Polegli pod Kijowem Borys Łapin i Zachar Chacrewin. Później niektórzy pisarze wypominali Ortenbergowi, że ponoć przetrzymał ich w Kijowie, nie odwołał stamtąd w porę...

Sądzę, że to nie jest prawda, lecz jedna z tych legend, jakie powstają, gdy po śmierci kogoś bardzo dobrego ludzie zaczynają mówić, że gdyby on tego a tego wieczoru nie znalazł się tam a tam lub gdyby lekarz zdążył o pięć minut wcześniej, lub gdyby... słowem, gdyby nie tysiąc „gdyby”, toby żył. Oczywiście istota rzeczy tkwiła nie w tym, że ich ktoś nie odwołał czy przetrzymał, lecz w tym, że pozostali sobą - ludźmi honoru. Byli skierowani do armii i dopóki toczyła się tragiczna bitwa o Kijów, dopóki armia cofała się, trwali przy niej, nie mogli odejść inaczej niż wraz z nią. Cechowała ich taka stanowczość i bezkompromisowość, że gdyby mieli jakiś materiał dziennikarski, który koniecznie należałoby opublikować i w tym celu dostarczyć go do Moskwy, to nie dbaliby o płytką opinię - sprytne to czy niesprytne.

Lecz w tamtej sytuacji widać nie mieli, nie mogli mieć takiego materiału. I nie widząc konieczności, nie widzieli możliwości swego wyjazdu i nie wyjechali. Tak zapewne było.

Co prawda, gdy za Kijowem, bijąc się w okrążeniu, ginęły już szczątki armii, wszystko mogło przybrać postać także tragicznego przypadku, więc i Łapin z Charcewinem, podobnie jak to się działo z innymi, albo jeszcze mogli wyrwać się z okrążenia, albo nie mogli. Podobno Chacrewin zachorował. Zdarzało się, że chorował poważnie. A Łapin nie chciał go zostawić i został przy nim.

Być może, jest to jedna z legend, jakie często powstają, gdy giną ludzie zaci, jest wszakże bardzo podobna do prawdy. To jak najbardziej leżało w charakterze Łapina.

Nad Chałchyn-Gołem kwaterowaliśmy najpierw w jednej jurcie we czworo: Sławin, Łapin, Chacrewin i ja. Wąskie żelazne łóżka stały wokół wojłokowych ścian. Pośrodku stał stół, na którym pisaliśmy siedząc na łóżkach. Czasami w ciągu dnia, gdy nieznośnie dokuczały komary, właziliśmy do rozżarzonej słońcem emki, zamykaliśmy wszystkie szyby, wybijaliśmy wewnątrz wszystkie komary i pisaliśmy siedząc w tym piekle. Wieczorem zaś ze starych gazet rozniecaliliśmy w jurcie niewielkie ognisko i wykurzaliśmy komary dymem. Niebawem zresztą znowu była ich pełna jurta.

Okrągły otwór u szczytu jurty zatykaliśmy czworokątnym wojtłokiem, którego wszystkie cztery rogi były przywiązane z zewnątrz sznurkami do liny obiegającej całą jurtę mniej więcej w połowie jej wysokości. Kiedy padały deszcze i wiał silny wiatr, sznurki się rwały, wojtłok odstaniał ów górny otwór i woda całymi strumieniami chlustała w środku nocy na nasze łóżka. Mokliśmy wszyscy, ale wyłazić na zewnątrz nikomu się nie chciało. Zaczynaliśmy się targować.

Zachar Chacrewin, poza służbą największy leń z naszej czwórki, zaczynał mnie natychmiast namawiać, abym wyszedł na zewnątrz i przywiązał wojtłok. Namawiał dość ospale, jeżeli deszcz lał nie na niego, ale gdy strumień wody spadał właśnie na jego łóżko, wówczas starannie owinąwszy się drugim kocem i narzuciwszy płaszcz na głowę brał się do urabiania mnie z maksymalną jak na swoje lenistwo energią. Mówił mniej więcej w ten sposób:

- Jest pan wspaniałym chłopcem, Kostia, wiemy to i doceniamy wszyscy. Ponadto jest pan spośród nas najmłodszy, mam nadzieję, nie zechce pan tego negować. Ponadto ja już przed trzema dniami wyłaziłem i razem z panem przywiązywałem ten cholerny wojtłok.

- Tak, ale razem ze mną - oponowałem.

- Tak, razem z panem. Ale teraz niech pan spróbuje poradzić sobie z tym wojtłokiem sam, beze mnie. Zobacz pan, to nawet będzie interesujące!

- Ale dlaczego? - opierałem się. - Dzisiaj na pana kolej.

Nie ustępowałem.

- No, niechże się pan zastanowi, po cóż ja jestem panu potrzebny, ja, mizerny inteligent o krzywych rękach, które zupełnie, ale to zupełnie nic nie potrafią zrobić? Pan był tokarzem. Pan jest pracownikiem fizycznym, dla pana będzie to niesłychanie łatwe. I interesujące, zapewniam pana. Sławin, osłoniwszy głowę, palił fajkę puszczając dym spod płaszcza. Łapin chichotał. Ostatecznie więc wyłaziłem spod koca, wkładałem płaszcz i buty.

A propos płaszcza. Przez pierwsze trzy dni po moim przyjeździe nie znaleziono płaszcza na mój wzrost, jeździłem tedy ze Stawskim nie w wojskowym, lecz w swoim moskiewskim, cywilnym płaszczu z gabardyny, wdzwiewając go na mundur. Jeśli do tego dodam, że chodziłem w hełmie, zaś na bluzie wyglądającej spod cywilnego płaszcza nie miałem żadnych dystynkcji, nie dostałem bowiem nominacji, to nikogo nie zdziwi, że w ciągu owych trzech dni zatrzymywano mnie natychmiast, ilekroć odszedłem od Stawskiego na pięć kroków.

Ale już w okresie, który tu opisuję, epokę cywilnego płaszcza miałem poza sobą, leżał zapakowany w walizce, ja zaś paradowałem w wojskowym, ze strasznie krótkimi rękawami i połami nie schodzącymi się u dołu.

Wciągałem więc buty, nakładałem płaszcz i wyskakiwałem na dwór. W twarz bił ohydny deszcz, drobny i silny jak grad. Brałem się, sadząc diabłami, do przywiązywania wojtłoku. Nie udawało się. Wówczas rzetelny Łapin przychodził mi w miarę swoich sił z pomocą. Udzielanie pomocy zaczynał od słów:

- Kostia, pan przecież wie, że ja nic nie widzę, więc niech mi pan poda do ręki koniec sznurka i wskaże, gdzie go trzeba przywiązać.

Podawałem mu koniec sznurka i Łapin zaczynał przywiązywać. W końcu, przemoknięci do cna, wracaliśmy i włązili, dygocąc, pod swoje koce.

- Następnym razem pójdzie pan, Zacharze - dosyć surowym tonem oznajmiał Łapin.

- Jesteście obaj wspaniali. chłopcy. Z pewnością przywiążaliście ten wojtłok doskonale. Ja nigdy w życiu nie potrafiłbym go tak przywiązać - sennym głosem mruczał spod koca rozgrzany już Chacrewin. Obaj oni nosili dystynkcje intendentów drugiego stopnia - czerwono obramowane ciemnozielone naszywki z dwiema belkami i małym żółtym kółkiem, podobnym do koła napędowego maszyny drukarskiej. Owe kółka z naszywek pozdejmowali zresztą, toteż na froncie wzięto ich kilka razy za lekarzy i żądano w różnych przypadkach stosownej pomocy. Stopień intendenta nie podobał się im, podobnie jak wszystkim bez wyjątku pisarzom. Chętnie też obaj żartowali z siebie z tego powodu. Pewnego razu Ortenberg po długiej i jak najbardziej „cywilnej” sprzeczce ze Sławinem znieacka wściekł się i przypomniał sobie, że jest bądź co bądź władzą, i to wojskową, krzyknął nań:

- Intendencie pierwszego stopnia, proszę mi się tu nie sprzeciwiać!

Aż nas wszystkich zatkało takie dictum.

Przez jakiś kwadrans Ortenberg zachowywał oficjalną surowość, wieczorem wszakże, jadąc gdzieś ze mną samochodem, parsknął nagle śmiechem na wspomnienie tej sceny.

Dobrze pamiętam Łapina i Chacrewina z tych kilku dni walk, na które zdążyłem. Toczyły się one, jak już mówiłem, o dwa lub trzy ostatnie wzgórza. Wszystko skupiło się na małym skrawku terenu, toteż stykaliśmy się z sobą codziennie.

Pamiętam dobrze, jak Łapin i Chacrewin zjawili się w tym batalionie, w którym byłem ze Stawskim, i jak Łapin z wielkim zaciekawieniem wypytywał, czy nie zdarzyło się co w czasie ich nieobecności. Towarzyszyło mu ustawiczne uczucie, że czegoś nie widział, nie zdążył, i że natychmiast trzeba to uzupełnić.

Pamiętam, jak się im wyciągnęły twarze, kiedy ze Stawskim ulokowałem się w czołgu, aby najkrótszą drogą przebyć ostrzeliwany odcinek, a dla nich zabrakło miejsca. Ale w kilka godzin potem dotarli jednak jakąś okrężną drogą tam gdzie i my. Chacrewin z satysfakcją chichotał i pocierał swoje wiecznie zimne ręce. Zawsze pocierał je charakterystycznym gestem lekarza, gdy ten wejdzie z mrozu do mieszkania i ma przystąpić do badania pacjenta. Był to nawyk bardzo charakterystyczny. Zaś pedantyczny Łapin ustawicznie sięgał po niewielki notes i mrużąc swoje oczy krótkowidza ciągle coś zapisywał.

Później, już w Moskwie, gdy poza nami zostały wszystkie wiatry, deszcze i niepogody Mongolii, ktoś - nie pamiętam już kto - opowiadał mi rozbawiony o tym, jak to Łapin i Chacrewin po kilkumiesięcznej chałchyn-gołskiej epopei wsiedli do przedziału międzynarodowego wagonu, Zachar pociągnął nosem, postawił kołnierz marynarki i chwyciwszy się za gardło jęknął:

- Boria, chyba jakiś wariat otworzył okno w korytarzu. Proszę cię, idź, zamknij. Czuję, że z każdą sekundą przeziębiam się coraz bardziej.

Może ów ktoś tylko żartował sobie, było to jednak bardzo podobne do prawdy.

Później, jesienią 1940 roku, gdy w Europie już drugi rok toczyła się wojna, znalazłem się nieoczekiwanie z Chacrewinem w wielkim i pustym podmoskiewskim domu wczasowym, gdzie prócz nas przebywał podówczas tylko Arkady Gajdar, obecnie już nieżyjący.

Siedząc przy ciepłym piecu, a jednak nastroszony jak na zimnie, Zachar zwykłym swoim gestem pocierał swoje wiecznie ziębnące ręce i wspominał Chałchyn-Goł.

- Piękne czasy! Teraz, z perspektywy roku, myślę, iż nawet Stawski był wspaniałym chłopem. (A bardzo Stawskiego nie lubi!). A komisarz pułku Ortenberg ze swym ohydny nałogiem codziennego wydawania gazety bez względu nawet na pogodę! A japońskie okopy, w których tyle było doskonałego papieru ryżowego! Pan wie, jak ja ten gatunek papieru lubię, ile mi zawsze sprawiał przyjemności! A pamięta pan grubego Ekslera, co to w czasie alarmu lotniczego pędził do schronu z dwoma hełmami - na wypadek, gdyby mu jeden uszkodziło? A tamte urocze deszcze! Pamięta pan, jak podczas tych deszczy zawiązywałem jurkę?

- No, zawiązywałem ja.

- Teraz, z perspektywy, wydaje mi się, że to nie pan, lecz ja zawiązywałem. W każdym razie deszcze były urocze i dziwne: szły absolutnie równoległe do ziemi Czasami nachodzi mnie pragnienie, żeby jeszcze raz dostać się pod taki deszcz. A ten sierżant Uzultujew! A piosenka, którąśmy wespół z panem skomponowali:

*Jak za tą górą, za Chamar-Dabą,
Gdzie do nas działały, mój miły,
Bombowce spacer nam przerywały –
Dróżki i ścieżki pozarastały;
Porosły rowy zielenią ciemną,
Po których, miły, kryłeś się ze mną.*

A jak komisarz pułku jeździł motocyklem!...

Chacrewin był typem chorowitego mieszczucha o nienagannym wychowaniu, przymilnym głose i niezgrabnych rękach. Zawsze jednak był gotów jechać wszędzie: na koniec świata, na wojnę, jutro, pojutrze, natychmiast...

Ale wracam do Mongolii. Bardzo wyraźnie tkwi w mej pamięci pewna noc, bodaj dziesiątego września. Już od dziesięciu czy dwunastu dni w Europie toczyła się wojna. Nie pamiętam, w jakiej sprawie wyjechałem późnym wieczorem do Tamcag-Bułaku i zatrzymałem się w jurcie jakiegoś oddziału, gdzie stała silna radiostacja. Szef zaproponował:

- Chce pan, posłuchamy Europy? Jęliśmy nastawiać radio. Złapaliśmy najpierw jakąś pośrednią stację, następnie Moskwę czy Leningrad - nadawano operę. Potem zabrnęliśmy jeszcze dalej.

Wtem z odległości siedmiu lub ośmiu tysięcy kilometrów usłyszałem coś, co obecnie usłyszeć można tylko z taśmy ówczesnych niemieckich kronik filmowych. Usłyszałem audycję z Krakowa, zdobytego właśnie przez Niemców. W owym czasie pamiętałem jeszcze niemiecki, a i treść audycji była taka, że mogłem zrozumieć prawie każde słowo. Niemiecki spiker mówił skądś, chyba z jakiegoś balkonu przy centralnym placu Krakowa. Grzmiały orkiestry, były bębny, słysząc było dudnienie sunących czołgów, krok oddziałów. Niemcy wchodzili do Krakowa. Spiker wydierał się, co to za prastare miasto, ile liczy mieszkańców, w którym dniu wojny zostało zdobyte, jakie oddziały przechodzą. Wszystko to przerywane było ciągle krokiem maszerujących, dudnieniem czołgów, orkiestrą.

Przeniknąwszy przestrzeń ośmiu tysięcy kilometrów ta europejska wojna ukazała się całkowicie namacalnie tu, w Azji, w tej jurcie na krańcu świata, w pustyni, tu, gdzie zaledwie kilka dni temu ucichła, nie wiadomo, czy na długo, inna, tutejsza wojna.

Wojna... Rozszalała się tam, szaleje tu, szerzy się, przelewa z tego oto radia. Po raz pierwszy z całą oczywistością odczułem w tamtej chwili, że lada moment będziemy bić się z Niemcami, że to nastąpi niechybnie i rychło i że wszystko to, co tam się dzieje, to jedynie początek czegoś monstrualnego, przerastającego pojęcie. Właśnie - nie pomyślałem, lecz odczułem.

Nie mogłem znieść tego doznania i poprosiłem o wyłączenie radia. Nastąpiła znowu cisza. Wyszedłem z jurty. Dookoła był czarny, pachnący skórą baranią, tchnący spokojem step. Potem gdzieś o kilka kilometrów, rozległ się warkot silnika samolotu - zapewne sposobiał się do startu jeden z nocnych zwiadowców eskadry stacjonującej niedaleko Tamcag-Bułaku.

W styczniu czterdziestego piątego roku trafiłem do niedawno wyzwolonego Krakowa i wałęsałem się po jego ulicach. I przypomniawszy mi się tamta mongolska noc Stałem na placu, przy którym był magistrat, i pomyślałem, że to na pewno stąd, z tego balkonu, mówił ów Niemiec, którego słyszałem W 1939 roku. Minęło już pięć lat od czasu mego pobytu w Tamcag-Bułaku, lecz wojna wciąż jeszcze trwała. I była to ciągle ta sama wojna, która toczyła się wtedy nad Chałchyn-Gołem i toczy się jeszcze dotąd, i nie wiadomo kiedy i gdzie się może skończyć. Bo to tylko teraz, po przyśpieszonym biegu wydarzeń w końcu wojny, nam samym się zdaje, że już wtedy było wiadomo, że wszystko się skończy lada moment. W rzeczywistości zaś nawet jeszcze w kwietniu, gdy już zdobywano Berlin, wciąż jeszcze nie śmieliśmy wierzyć w spełnienie się naszych pragnień - w koniec wojny. Bo i wtedy przecież zdawało się, że wojna może się toczyć jeszcze dalej, gdzieś w Schwarzwaldzie, w Bawarii...

Wlokły się ostatnie przed rozejmem dni. Walki powietrzne wciąż przybierały na sile, lecz na linii frontu było spokojnie jak przedtem. Wszyscy czekali, co będzie dalej: pertraktacje pokojowe czy też nadal wojna. I w tym stanie wyczekiwania brakło chęci do robienia czegokolwiek, chociaż Ortenberg wydębiał ode mnie po jednym wierszu co drugi dzień.

Jak już mówiłem, najczęściej w owych dniach jeździłem do czołgistów. Tam, że wspomnę i to, przydarzyła mi się śmieszna historia z pistoletem. Akurat pod koniec działań wojennych pobrałem ze składu, z pewnym opóźnieniem, lecz mimo to z wielkim zadowoleniem, pistolet typu TT i od razu włożyłem do kabury.

Teraz, wracając nocą z przednich linii z bronią u boku, imaginowałem sobie ustawicznie, że zetrzemy się z jakąś grupą japońskich niedobitków rozproszonych w stepie/ i ani chybi, weźmiemy ich do niewoli. Z tą myślą odpinałem kaburę i przesuwalem pistolet zza biodra na brzuch, by go łatwiej było wydobyć. I choć nic podobnego się nie działo, z pistoletem jednak żyło się mocniej.

I oto pewnego razu, przybywszy do czołgistów Michajłowa, ujrzałem, że jego ordynans i jeden z żołnierzy czyszczą na rozestanej pelerynie karabin i parę sztuk pistoletów.

- Powinienem i swój wyczyścić - rzekłem z powagą.

- To niech pan da, wyczyszczą panu - powiedział Michajłow.

Bardzo mi odpowiadała ta propozycja. Właśnie na nią liczyłem. Słyszałem wprawdzie, że pistolet

należy czyścić, nie wiedziałem jednak, jak go się rozbiera, a pytać było mi wstyd.

Wyjąłem z kabury pistolet i położyłem na pelerynie. Michajłow podniósł go dwoma palcami, obejrzał, potem spojrzał na mnie i zapytał:

- Więc tak go pan wozi ze sobą?

- Tak - odparłem.

- Tak, naoliwiony?

- Tak. A bo co? Moim zdaniem naoliwiony jest dobrze.

Byłem najświęciej przekonany, że tak istotnie jest, pistolet pobrałem bowiem w magazynie solidnie pociągnięty jakimś gęstym żółtym smarem, wytarłem tylko rękojeść, aby się nie ślizgała w ręce, resztę zaś smaru zostawiłem, myśląc, że gdzie jak gdzie, lecz w magazynie wiedzą, czym i jak konserwuje się broń.

- Ależ to smar fabryczny - zawołał Michajłow - smaruje się nim dla konserwacji! Nie można strzelać z tak nasmarowanego! Trzeba wytrzeć to wszystko i naoliwić smarem karabinowym.

Co za upokorzenie! - myślałem zgnębiony. - Niepotrzebnie więc chwyciłem za rękojeść, odpinałem kaburę i przesuwałem z biodra na brzuch? Wszystko to na nic?

Pusto zrobiło się w naszym obozie. Odjechali Rozenfeld i Eksler, odjechali Łapin, Chacrewin i Sławin, odleciał hałaśliwy Misza Bernshtein. Stawski kwaterował na Chamar-Dabie. Ja i Krużkow, jedyni teraz korespondenci, jeździliśmy na linię przednią rano, a wracali zwykle pod wieczór. Koło szpitala stała jurta Mongolskiej Centrali Handlowej, gdzie mongolski spółdzielca sprzedawał towary niewyszukanego asortymentu, przeważnie (papierosy „Borcy” i skondensowane mleko. Sprzedawano to wszystko za mongolskie pieniądze - tugryki. Mieliśmy te tugryki, ale tam, w stepie, nie było ich na co wydawać.

Raz kupiłem w owej centrali chińskie herbatniki, sprzedawane w dużych ładnych pudełkach.

Herbatniki te, dla amatora może nawet smaczne, wydały mi się dziwne. Stanowiły mieszaninę łożu, mąki i cukru. Wszystko to było ugniecione w wielkie piguły powleczone z wierzchu czymś jaskrawo fioletowym, zielonym i żółtym.

Nocami w trójkę - Krużkow, Ortenberg i ja - piliśmy herbatę ze skondensowanym mlekiem.

Zaparzaliśmy ją po prostu w kubkach stawianych na żelaznym piecyku i dolewali jedną trzecią skondensowanego mleka. Robiła się z tego słodka, parująca, gorąca lura, którą mimo to piło się z przyjemnością.

Ortenberg zastając mnie i Krużkova przy picciu herbaty zazwyczaj podnosił krzyk, żeśmy na pewno pomylili kubki i wzięli jego kubek, i że on będzie musiał pić w którymś z naszych, czego ani myśli zrobić, bo jego jest czysty, a nasze brudne.

Kubki - wszystkie jednakowo brudne, a raczej nie brudne, tylko ściemniałe od ciągłego zaparzania - były absolutnie takie same, ale Ortenberg był szczerze przeświadczony, że jego jest najczystszy.

Jeżeli nie wyjeżdżaliśmy w ciągu dnia, to na obiad szliśmy do oddalonego o kilometr szpitala. Tam, pod niewielkim dachem, przy długim stole jedliśmy żur z ogromną ilością baraniny. W stepie srożyły się komary. By można było jako tako jeść, sadowiliśmy się w płaszczach, podnosili kołnierze, wkładali rękawice i nasuwali furażerki na czoła. Zaś z obu stron talerza stawialiśmy na dwu świecznikach specjalne japońskie, z Formozy, zdaje się, zielone spiralki, które żarząc się odpędzały komary. Spiralek owych nabraliśmy mnóstwo w japońskich okopach. Było to nasze główne trofeum, z którego bardzośmy się cieszyli.

Gazeta wychodziła, zapełniana moimi bardzo długimi balladami, artykułami Krużkova oraz nie wydrukowanymi przedtem, zlekceważonymi szkicami kolegów, którzy już odjechali. Ortenberg, który całymi dniami przepadał gdzieś na linii, zasypiał wśród nocy nad szpaltami gazety, po czym znienacka zrywał się, otwierał oczy i od razu w krzyk:

- Pewzner!

Natychmiast zjawiał się sekretarz redakcji, mały, śniady Misza Pewzner.

Ale wiecznie niewyspanego Ortenberga zaczynał znów morzyć sen.

- Na rozkaz, towarzyszu komisarzu pułku.

- Czegoście przyszli?

- Wzywaliście mnie, towarzyszu.

- Po co was wzywałem?
- Nie wiem, towarzyszu komisarzu pułku.
- Odmaszerować.

Mijało kilka chwil, Ortenberg łamał sobie głowę, po co też wzywał tego Pewznera, po czym albo odnajdywał w pamięci, albo zmyślał powód wezwania, i po stepie rozlegało się znowu:

- Pewzner!

W skrajnej jurcie postukiwała na maszynie maszynistka. Była to jedyna w naszym obozie kobieta; zajmowała sama całą jurkę. Była bardzo miła, cichutka i niezbyt urodziwa. Kiedy przyjechałem, ci, co przybyli tu wcześniej, opowiadali, jak to Ortenberg w trosce o to, by w jego redakcji wszystko było bez zarzutu, dobierał dla naszej „Gieroczeskiej Krasnoarmiejskiej” maszynistkę. Powiedziano mu, że do redakcji może wziąć którą zechce z siedmiu czy ośmiu maszynistek znajdujących się podówczas w dyspozycji wydziału politycznego. Wezwał więc wszystkie, długo wypytywał o nieistotne dane do ankiety i powolutku wybierał, która tu najmniej ładna. Wybrał w końcu i, uszczęśliwiony, przywiózł do redakcji. Pisała też niestety niezbyt szybko.

Czternastego czy też piętnastego września toczyła się ostatnia wielka bitwa powietrzna. Tylko w polu naszego widzenia spadło w różnych miejscach co najmniej piętnaście samolotów, ogółem zaś strąciliśmy tego dnia bodaj ze czterdzieści.

Na drugi dzień rano pomknęliśmy na Chamar-Dabę. Nadeszły wiadomości, że dzisiaj w strefie neutralnej rozpoczynają się rokowania z Japończykami. Mimo iż nie brano osób zbędnych, udało mi się dołączyć do Ortenberga i Stawskiego. Po upływie jakichś dwu godzin przybyliśmy na linię przedostatnim wozem kolumny złożonej z sześciu czy siedmiu samochodów.

Miejscem rokowań było pasmo niewysokich, piaszczystych wzgórz, pocięte wąskimi parowami. W jednym z tych parowów stało, a raczej wisało, uczepione nasady wzgórza, samotne, krzywe drzewo - pierwsze, jakie tu zobaczyłem.

Wysiedliśmy z samochodów. Wnosząc ze wszystkiego, co się tu dotychczas działo, mało mieliśmy powodów do ufania Japończykom. Za nami stanęło więc kilka zamaskowanych gałęziami czołgów. Karabiny maszynowe również były w pogotowiu.

Zastępca Żukowa, pułkownik Potapow, zgodnie z porozumieniem wstępnym zawartym drogą radiową, miał tego dnia spotkać się z Japończykami w strefie centralnej, między naszymi zasiekami z drutu a ich okopami, aby uzgodnić, w jakim miejscu będą prowadzone dalsze rozmowy.

Potapow dowodził później pod Kijowem 5 armią i, ciężko ranny, dostał się do niewoli. A komisarz dywizji, Nikiszew, członek rady wojennej naszego zgrupowania znad Chałchyn-Gołu, tamże pod Kijowem zastrzelił się.

Potapow był szczupłym, wysokim mężczyzną, nieco gwałtownym, lecz zarazem zdyscyplinowanym. W sprawach najistotniejszych zachowywał się z nienaganną poprawnością; był doskonałym oficerem. W tym dniu po raz ostatni nosił dystynkcje pułkownika. Z rokowań wstępnych wiedzieliśmy, że Japończycy zamierzają skierować jutro generała dywizji jako szefa swojej komisji negocjacyjnej.

Żuków, nie chcąc wyznaczać nikogo innego i jednocześnie uważając, że radziecki przedstawiciel nie może mieć niższego stopnia niż przedstawiciel japoński, zwrócił się do Moskwy i stamtąd nadano Potapowowi stopień dowódcy brygady, w jakim też nazajutrz stanął do rokowań.

Nasza komisja składająca się z dziesięciu czy też dwunastu osób przemaszerowała przez pagórek, zesłała po jego zboczach i podeszła ku naszym zasiekom. Przed sobą mieliśmy ziemię niczyją oraz tereny japońskie. Za nami, za pasmem żółtych, milczących wzgórz - wiedzieliśmy o tym - wszystko było w pogotowiu, by ruszyć z pomocą w razie prowokacji.

Upłynęło kilka minut oczekiwania. Japończyków nie było. Wreszcie na grzbiecie przeciwległych wzgórz, w odległości trzystu czy czterystu metrów, ukazały się samochody. Japończycy wysiedli z nich i szybkim krokiem ruszyli w naszą stronę. Kiedy przebyli trzy czwarte odległości, Potapow w asyście dwu oficerów ruszył na ich spotkanie. Nam kazano zostać, więc stanęliśmy koło przejścia przez zasieki, wysunąwszy się przed nie o kilka kroków.

Spotkanie nastąpiło w odległości jakichś trzydziestu kroków od nas, Japończycy oddali szablami honory wojskowe, nasi odsalutowali. Odbyła się krótka rozmowa, po czym Japończycy wykonali zwrot i odmaszerowali do swoich wozów, nasi zaś do swoich.

Rokowania, jak się okazało, zostały wyznaczone na dzień następny. Miejsce wybrano tu właśnie, na małej równinie w strefie neutralnej - o kilometr od naszych stanowisk i tyleż od japońskich. Uzgodniono, że staną tam trzy namioty: jeden dla naszej delegacji, drugi dla japońskiej, trzeci - centralny - na posiedzenia. Zbudowanie tego centralnego namiotu Japończycy wzięli na siebie. Liczbę członków delegacji obu stron określono, zdaje się, na pięć osób. Stawski wkręcił się do niej jako kancelista, co w całym sztabie zgrupowania wzbudziło wesołe ożywienie. Lecz on koniecznie chciał być świadkiem wszystkich rozmów, a że innego wakującego miejsca nie było, więc wieczorem pilnie poszukiwał czterech podoficerskich trój kącików zamiast swoich belek.

Mnie przyrzeczono, że będę mógł przebywać w namiocie radzieckim. Co się zaś tyczy mojej obecności w namiocie rokowań, to o tym nie mogło być mowy.

Zaczynała we mnie już wtedy odzywać się żyłka korespondenta: zdecydowałem, że najważniejsze to dostać się jutro do strefy neutralnej, a dalej - zobaczy się.

Powróciliśmy do siebie do Bain-Burtu późną nocą, a o świcie ruszyliśmy z powrotem na rokowania. Żałuję, iż niczego wówczas nie notowałem. Trzy dni rokowań, w których miałem możliwość uczestniczyć, obfitowały w ciekawe, czasem nawet ważne szczegóły. Nie chcę jednak zmyślać czegokolwiek, posługując się teraz pamięcią jak kanwą, więc - w sposób niekompletny - tylko to, co rzeczywiście pamiętam.

Druga połowa września owego roku była w Mongolii zimna i wietrzna. Zrobiliśmy rankiem kawał drogi; zanim dostaliśmy się do strefy neutralnej, zmarzliśmy rozpaczliwie. Z emki wysiedliśmy na ziąb, dygocąc w swoich płaszczach. Wiatr zginał trawy, wysoko nad horyzontem stało jakby zimowe, chłodne, zamglone słońce; w oddali widniały żółtoszare odnogi Chinganu, ku którym ciągnęło się pasmo większych i mniejszych żółtych wzgórz. Tuż za najbliższymi wzgórzami coś się dymiło, może stały tam japońskie kuchnie polowe, a może palono zwłoki.

W parowie, w którym wczoraj spotkali się parlamentariusze, już stały trzy namioty; najbliższy nasz, z połączeniem telefonicznym do sztabu, o jakieś sto metrów dalej - wielki jedwabny namiot centralny, podobny z kształtu do czegoś bardzo znanego: zapamiętanych z dziecięcych lektur ilustracji przedstawiających książęce namioty polowe czy też do namiotów ze sceny tańców połowieckich w „Księżu Igorze”. Jeszcze dalej stał trzeci - japoński namiot.

Uczestnicy rozmów, nasi i Mongołowie - jedni i drudzy w wyprasowanych, odświeżonych mundurach - już wysiedli z samochodów i niewielką grupą stali koło naszego namiotu. Przy namiocie japońskim widać było z daleka cały tłum. Nas było bez porównania mniej. Jak zawsze w podobnych przypadkach, nasi uznali za stosowne nie angażować wielu dziennikarzy, wskutek czego było nas zaledwie trzech, nie licząc Stawskiego, który stał nie opodal w żołnierskim płaszczu z czterema trój kącikami sierżanta: oficjalnie nie wchodził w skład delegacji i nie podchodził do nas.

Początkowo pewien drobny kłopot sprawiała kwestia etykiety. Mimo iż obie strony miały jak najściślejsze instrukcje wstępne, niezupełnie jednak wiedziały, co mają robić, w której mianowicie chwili ruszyć ku sobie i kiedy podnieść rękę do czapki.

Po przebrnięciu przez tę trudność ruszyli wszyscy naraz. Nie tracąc czasu i my ruszyliśmy ich śladem. Patrzyłem na zbliżających się Japończyków. Prawie wszyscy byli w zimowych płaszczach z kudłatymi psimi kołnierzami, które wyróżniały północną armię kwantuńską. U boków zwisały miecze na bandoletach. Na czele kroczył generał, za nim dwaj czy trzej pułkownicy i kilku młodszych oficerów. Towarzyszył im cały tłum dziennikarzy, fotoreporterów i reporterów filmowych.

Obie grupy, nasza i japońska, spotkały się przed centralnym namiotem. Nastąpiło powitanie i wymiana honorów. Potem zawirowało wokół nas: japońscy korespondenci przykucali, zabiegali z przodu, z lewej, z prawej i przy ustawicznym szczęku aparatów fotografowali nas wszystkich razem i z osobna.

W tym momencie spostrzegłem, że jak na złość mam urwane u płaszcza aż dwa guziki. Stanąłem w pozie nudzącego się subiekta, z rękami założonymi na brzuchu - maskując w ten sposób brak dwu guzików i przytrzymując rozlatujące się na wietrze poły. Wszyscy nasi byli tak wyelegantowani, że nie miałem wątpliwości, co by się stało, gdyby któryś z przełożonych zauważył u mnie brak tych cholernych guzików: w jednej chwili przegnano by mnie z terenu rokowań.

Po minucie czy dwu tego pozowania japońscy żołnierze uchylili jedwabnej zastony i członkowie

delegacji weszli do namiotu. •Wewnątrz stał długi, dość szeroki stół i ze dwadzieścia krzeseł. Dla szefów obu delegacji ustawiono pośrodku vis-a-vis fotele. Pozostali rozsiedli się na krzesłach, nasi z jednej strony, a Japończycy z drugiej.

Stopniowo w toku trzydniowych rokowań wkręciłem się na dobre do tego namiotu. Ortenberg, który zainstalował się tam od pierwszego dnia, przez cały czas wymyślał dla mnie jakieś polecenia - to przynieść mu, to znów odnieść jakieś materiały w teczce, która w istocie była puściutka.

Pierwszego wieczoru po rozmowach Potapow mruczał, a nawet groził, że się poskarży Żukowowi. Ale „przyzwyczaisz się - polubisz” - powiada przysłowie, więc drugiego i trzeciego dnia tkwiłem w namiocie jak gwóźdź i trudno byłoby mnie stamtąd wyciągnąć.

Już w pierwszej godzinie rokowań okazało się, niestety, że z naszych tłumaczy niewielki będzie pożytek. Głównym tłumaczem rozmów stał się więc japoński major noszący akselbanty sztabowca; drobnego wzrostu, ruchliwy, chichocący, szczerzący zęby, słowem - typowy Japończyk, jakiego w rolach filmowych lubią grać nasi aktorzy. Mówił z silnym akcentem japońskim, zdradzał jednak bardzo dobrą znajomość rosyjskiego. Tłumacząc, a zwłaszcza prowadząc konwersację podczas przerw w pertraktacjach, popisywał się cytowaniem rosyjskich idiomów i powiedzonek: „Konia kują, żaba nogę nadstawia”. „Wolniej jadąc, dalej zajedziesz” itd. itp. - bardzo to zabawnie brzmiało w jego ustach. Uśmiechał się przy tym bezustannie.

Pewien ciekawy szczegół: od pierwszej chwili, gdy tylko zobaczyłem Japończyków, narzucił się mojej uwadze ów ostentacyjny, sztuczny uśmiech, pojawiający się na twarzy niemal każdego spotykającego się z nami oficera.

Natomiast żołnierze stojący za nimi nie uśmiechali się wcale, ich twarze były spokojne i poważne. Sądziłem wtedy, że to się bierze z ich dyscypliny, subordynacji. Później, po sześciu latach, już w Japonii, zrozumiałem, że ów oślawiony, przyklejony do twarzy japoński uśmiech i ruchliwość mimiki, które nie przyzwyczajonemu wydają się krygowaniem, bynajmniej nie są odruchem czy zwyczajem właściwym całemu narodowi. To raczej efekt współczesnej japońskiej cywilizacji, zjawisko jak najbardziej powierzchowne, cecha wychowania i przynależności do określonych warstw kulturowych. Jeśli na przykład chodzi o chłopów, to, po swoim krótkim pobycie na wsi japońskiej, mogę stwierdzić, że trudno sobie wyobrazić naturalniejsze i prostsze, pozbawione nawet najdrobniejszych cech obłudy zachowanie ludzkie. Lecz o tym tylko mimochodem.

Rokowania toczyły się dalej. Kwestie podstawowe zostały już, rzecz oczywista, rozstrzygnięte przy podpisywaniu rozejmu w Moskwie, lecz na wszelki wypadek i nasze, i mongolskie wojska tu, nad Chałchyn-Gołem, stały nadal w ostrym pogotowiu.

Tu, na miejscu, rozmowy sprowadzały się głównie do ustalenia sposobu i czasu demarkacji granicy, do której doszły radzieckie i mongolskie wojska, do kwestii - na jaką odległość można lub nie można zbliżyć się do niej, wreszcie do sprawy wzajemnego przekazania jeńców i oddania trupów.

Ostatni problem stał się główną przeszkodą w rokowaniach.

Formalności dotyczące tymczasowej demarkacji granicy i wymiany jeńców załatwiono szybko. Ale nad sprawą oddania trupów rokowania się przeciągały.

Wszystkie walki toczyły się na terytorium Mongolii i dlatego ciała prawie wszystkich zabitych obu stron znajdowały się na terytorium Mongolii. Teraz, kiedyśmy stanęli na linii granicy, Japończycy powinni byli przekazać nam, zgodnie z naszym oświadczeniem, zwłoki zaledwie 42 czy może 52 radzieckich i mongolskich żołnierzy, poległych za granicą Mongolii w momencie, gdyśmy zamykali pierścień okrążenia wokół japońskich wojsk. Natomiast liczba trupów przeciwnika pogrzebanych na terytorium mongolskim wynosiła według naszych ustaleń 15-20 tysięcy. Trzeba tu podać pewne uściślenie. Ogólna liczba Japończyków poległych w trakcie wszystkich walk była jeszcze większa. Ale ponieważ przewiezienie do ojczyzny zwłok poległego, a ściślej mówiąc - prochów po spaleniu ciała, jest dla Japończyków rytuałem uświęconym religią i tradycją, Japończycy aż do ostatniej chwili przed zamknięciem pierścienia naszych wojsk transportowali na tyły zwłoki swoich poległych, a grzebać na miejscu zaczęli w czasie ostatnich kilku dni walk, kiedy byli całkowicie przez nas okrążeni. Znalazło się ich w tym pierścieniu około dwudziestu tysięcy. Łatwo się domyślić z tych liczb, z jaką zaciekłością walczyli Japończycy.

W czasie walk w okrążeniu grzebali oni swoich poległych oznaczając na specjalnych mapach czy też

szkicach odręcznych, gdzie, na jakiej głębokości i ilu pochowano. Najwidoczniej pewna liczba oficerów i podoficerów jeszcze w dniach walk przekradła się w pojedynkę nocami do swoich, przenosząc owe szkice z rejonu okrążenia poprzez pozycje naszych, wojsk. Gdy bowiem rozkopywano te mogiły, widziałem, jak japoński porucznik, blady, widocznie boleśnie ranny, z obandażowaną ręką na temblaku, zaglądał do szkicu. Było to na tymże Wzgórzu Remizowa, które obserwowałem podczas szturmów. Stał i doglądał pracy swoich żołnierzy, sprawdzając na szkicu miejsce zakopania trupów. Z pewnych oznak zauważyłem, iż radzi się nie tylko szkicu, ale i własnej pamięci. Spozierał w różne strony, ustalał jakieś szczegóły, znów zaglądał do szkicu. Zapytałem, czy był tu. Odparł, że tak, był tutaj. Spytałem, jak dawno. Wymienił dzień, w którym zdobywaliśmy to wzgórze, dzień, kiedy i ja tu byłem.

Ale wracam do rokowań. Japończycy znaleźli się w kłopotliwej sytuacji. Znali oczywiście w przybliżeniu ogólną liczbę swoich poległych na terytorium mongolskim; część zabitych pochowali sami i to oznaczyli na swoich mapach i szkicach. Inną część również sami pochowali, ale szkiców nie było: przenoszący je nie doszli - zginęli. Wreszcie bardzo wielu Japończyków poległych w czasie końcowych walk pochowały nasze oddziały grabarskie.

Wydarzenia nad Chałchyn-Gołem, zakończone rozgromieniem 6 zgrupowania armijnego wojsk japońskich, okryły hańbą dowództwo armii kwantuńskiej, mimo iż ich piechota biła się nad wyraz dzielnie. Dowództwo japońskie przesyłając w toku kampanii kłamliwe - to triumfalne, to wymijające - relacje, czyniło to w obawie, aby do prasy, do wiadomości społeczeństwa nie przedostały się informacje o rzeczywistej skali niepowodzeń i strat. Informacje te, nawiasem mówiąc, mimo wszystko potem się przedostały, jakkolwiek w ograniczonym stopniu. Gdzieś, bodaj że w „Asachi”, opublikowano, iż nad Chałchyn-Gołem poległo jakieś piętnaście do osiemnastu tysięcy Japończyków. Lecz nawet i ta znacznie zaniżona cyfra wzbudziła w swoim czasie sensację w Japonii.

I oto prosząc o wydanie zwłok poległych żołnierzy przedstawiciele armii kwantuńskiej z jednej strony, pod naciskiem tradycji, chcieli zabrać ich jak najwięcej, z drugiej zaś wysuwając swoje żądania nie chcieli podać prawdziwej liczby straconych żołnierzy i oficerów. Byłoby to bowiem oficjalnym dokumentem strat. Z tych to powodów toczono długie, przebiegłe pertraktacje.

Po stronie radziecko-mongolskiej również wystąpiły pewne trudności. Nie chcieliśmy zmuszać swoich żołnierzy do odgrzebywania japońskich poległych, ale też nie chcieliśmy wpuszczać japońskich oddziałów, wyznaczonych do rozkopywania mogił, na terytorium mongolskie. Wojska stały w pogotowiu bojowym, teren był umocniony i wcaleśmy nie pragnęli dać Japończykom możliwości oglądania tego terenu.

Tak doszło do pierwszych sporów. Ostatecznie zgodziliśmy się na to, by Japończycy odkopywali swoich zabitych własnymi siłami. Wówczas przedstawili nam mapy, na których miejsca pochowania oznaczone były dosłownie we wszystkich, nawet najmniej operacyjnie ważnych punktach dyslokacji naszych wojsk. Spośród owych czterdziestu, pięćdziesięciu oznaczeń jedno odpowiadało rzeczywistości, inne prawdopodobnie też, jeszcze inne były wymyślone.

Zaczęły się nowe spory. W końcu ustalono, że Japończykom zezwoli się na wykopanie zwłok w dziesięciu głównych punktach. Zażądaliśmy przy tym podania cyfry, ilu ogółem żołnierzy pochowali na naszym terytorium. Oświadczyli, że ich obliczenia wykazały, iż na mongolskim terytorium pozostało trzy tysiące trupów, ale ponieważ my ograniczamy możliwość ekshumacji jedynie do dziesięciu punktów, to nie spodziewają się odkopać nawet takiej ilości.

Nastąpiły z kolei rozmowy ustalające skład oddziałów grabarskich. Okazało się, że Japończycy chcą odkomenderować dziesięć oddziałów po stu żołnierzy w każdym. Wystąpili z prośbą, żebyśmy przez szacunek dla poległych, których odkopywać będą ich towarzysze broni, zgodzili się, by żołnierze wyznaczeni do tej pracy mieli przy sobie pałasze.

Zgodziliśmy się.

Wówczas Japończycy poprosili, aby ich oficerowie, którzy będą kierować pracami, mogli mieć przy sobie broń palną, po czym jęli badać grunt, czyby również i żołnierze nie mogli mieć karabinów przy sobie. Rozzłoszczony tym Potapow zapytał, czy ich ceremoniał ekshumacji poległych nie przewiduje strzelania z karabinów maszynowych. Może mieliby chęć wziąć ze sobą także i tę broń?

Jeśli dobrze pamiętam, to właśnie wtedy major-tłumacz wtrącił przysłowie: „Konia kują, żaba nogę

nadstawia” - osłaniając ironią wycofanie tej kwestii.

Ostatecznie stanęło na tym, iż żołnierze będą mieli pałasze, oficerowie - miecze.

Kolejny spór dotyczył sprawy, ile w końcu potrzeba dni, aby dziesięć oddziałów odkopało trzy tysiące trupów. Znowu zaczęły się targi. Japończycy wymienili liczbę - dokładnie nie pamiętam - dwadzieścia czy piętnaście dni. Nasi dawali dwa dni, potem trzy, w końcu stanęło na pięciu. Powołaliśmy się na to, że sądząc na podstawie podanej przez samych Japończyków cyfry, każdy z ich tysiąca żołnierzy będzie miał do odkopania zaledwie trzech zabitych. W odpowiedzi na to Japończycy wskazywali na trudności związane z odszukaniem, na ciężkość gruntu oraz uczucia żołnierzy, którzy będą odkopywać zwłoki swoich kolegów, a muszą to robić ostrożnie, żeby nie zaczepić o ciało łopatą bądź kilofem.

Nigdy nie byłem obecny przy rozmowach, gdzie by tyle mówiono o trupach. Trupy... trupy... na trupach... przy trupach... Deklinowano to słowo od rana do wieczora. Określenia „przy trupach” używano przeważnie w kwestii broni. Japończycy domagali się, aby w przypadku znalezienia przy trupach broni mieli prawo zabrania jej. Nasi oponowali twierdząc, że wszelką broń pozostawioną na terytorium mongolskim uważają za zdobyczną. Ostatecznie, zdaje się, stanęło na tym, że wszelką znalezioną białą broń zabiorą Japończycy, natomiast palną my.

Dalej toczyły się rozmowy o dokumentach, mapnikach, torbach polowych itd. Ciągnęły się w nieskończoność, aż ustalono, że wywiezione zostanie tylko to, co będzie się znajdowało w kieszeniach umundurowania; wszystkie mapniki, torby polowe i inne rzeczy znalezione przy odkopywaniu pozostaną u nas.

Pod koniec trzeciej doby mieli tego dość wszyscy - i nasi, i Japończycy. Rokowania zakończyły się, jeśli dobrze pamiętam, czwartego dnia. Potem nastąpiła niewielka przerwa, wieczorem zaś nasi podejmowali Japończyków kolacją w tym samym namiocie, gdzieśmy przez trzy dni bezustannie mówili o trupach.

Stół zastawiono przekąskami, kawiozem, wódką i koniakiem. Usługiwały trzy zmobilizowane w tym celu, najurodzawsze panny pracujące w wojskowej centrali handlowej.

Pito z tak zwanych piąt - filiżanek bez ucha, do których nalewano do pełna. Siedzący naprzeciwko mnie major-tłumacz usiłował się wymawiać i w ogóle się wzbraniał, ale oznajmiono mu, że według rosyjskiego obyczaju - nie wypić, gdy panna nalewa pełny kielich, znaczy obrazić pannę, świadczy to bowiem o powątpiewaniu o jej cnotliwości. Nie pamiętam, kto z taką inwencją wymyślił taki rosyjski obyczaj, ale podziałało to na majora mającego już nieco w czubie.

- Tak, tak, słyszałem coś podobnego - potwierdził, nie widząc innego wyjścia z sytuacji, czy też nie chcąc się przyznać, że nie wie czegoś, co ma związek z Rosją i rosyjskimi tradycjami.

Wychyliwszy piątę jednym haustem, dalej pił zaiste na umór. Przyłączyli się doń zresztą i pozostali Japończycy. Nawet posępny major ze sztabu, młody, przystojny mężczyzna, który przez cały czas rokowań siedział przy samym końcu stołu, najbliżej nas, stykając się bezpośrednio z naszą delegacją, a mimo to przez trzy dni nie wyrzekł ani słowa, pod koniec wieczoru jął mówić całkiem niezłe po rosyjsku i usiłował zalecać się do kelnerki, a nawet zaintonować jakąś pieśń.

Generał-major, szef japońskiej delegacji, wstał, teatralnym gestem uchylił zasłony namiotu i spoglądając w niebo, na którym jaśniał księżyc w pełni, kwieście oznajmił, iż księżyc dziś lśni jak nasze miłe zgromadzenie i podobnie jak ono ma się już ku zachodowi, przeto przeprasza wysokie dowództwo rosyjskie, albowiem musi jechać do wysokiego japońskiego dowództwa.

W języku potocznym oznaczało to: „Panowie oficerowie, hajda stąd, póki nie za późno, bo, widzę, języki wam się rozwiązują”.

W ślad za generałem jakoś tam wstała i reszta członków delegacji - kolacja dobiegła końca.

Następnego dnia Japończycy zrewanżowali się nam również kolacją, tam jednak już się nie dostałem.

W dwie doby po zakończeniu rokowań pokojowych rozpoczęła się procedura przekazywania trupów.

Zrobiono dziesięć przejść przez zasieki z drutu kolczastego i wytyczono dziesięć tras z sygnalistami (rozstawionymi na zakrętach. Wzdłuż owych tras ustawiono na wszelki wypadek znaczną liczbę karabinów maszynowych - we wszelkich dogodnych, a tu i ówdzie nawet i mniej dogodnych punktach.

Dziesięć japońskich kolumn samochodowych z białymi flagami ruszyło o jednej godzinie przez nasze tereny. Wydobywanie zwłok ciągnęło się najpierw pięć, potem trzy dodatkowe dni, o które prosili

Japończycy, w końcu jeszcze dwa dni, które dodaliśmy im sami - w sumie więc dziesięć dni. Japończycy odkopali, jeśli się nie mylę, ponad osiem tysięcy trupów i mogliby kopać jeszcze i jeszcze. Teraz chętnie byśmy im pozwolili na to, mając po temu specjalne powody.

Działające nad Chałchyn-Gołem 6 zgrupowanie armijne generała Kamacubary zostało całkowicie zniszczone w walkach, więc tysiąc żołnierzy do odkopywania trupów Japończycy musieli wziąć z tych dwóch czy czterech nowych swoich dywizji, które wówczas zostały podciągnięte pod mongolską granicę. Mówiono nawet, że początkowo Japończycy umyślnie zebrali tych żołnierzy z różnych dywizji, by wzbudzić w nich gniew i żądzę zemsty za śmierć kolegów. Skutek jednak był wprost odwrotny.

W dniach, kiedy zaczęło się odkopywanie, jak na złość dla Japończyków, ustaliła się sucha, upalna pogoda. Polegli pochowani byli już dawno. Z chwilą gdy odsłaniano zbiorowe mogiły, rozchodził się dookoła ciężki, trupi zaduch. W miarę jak trupy zwalano na ciężarówki, a słońce wznosiło się, fetor wzrastał i pod wieczór, gdy pełne trupów ciężarówki odjeżdżały, oddychanie stawało się niemożliwe. Początkowo żołnierze japońscy, zanim, zgodnie z oznaczeniem na mapie, przystąpili do odkopywania mogiły, stawali w szeregu na baczność, zdejmowali hełmy, opuszczali je ku ziemi, składali ukłon, po czym nakładali hełmy i brali się do roboty ostrożnie, aby rozkopując nie zahaczyć o zwłoki. Tak to wyglądało pierwszego dnia.

Ale już trzeciego czy czwartego widok był inny. Trupów było mnóstwo, odór wisiał tak straszny, słońce prażyło tak niemiłosiernie, że nic już żołnierzom nie pomagało, nawet założone na usta i nosy czarne, przesycone smotą opaski. Myśleli teraz, tylko o jednym: jak najszybciej pozbyć się kolejnego grobu i zakończyć robotę wyznaczoną na dzisiaj.

Obok łopat poszły teraz w ruch żelazne haki, którymi podrywano trupy. Łopatom kopano teraz na całego, z rozmachem, krusząc ziemię i ciała. Na wpół zgniłe strzępy ludzkie podważano hakami i niby drewno ciskano na samochody.

Ciągnęło się to w nieskończoność. Widok był niesamowity. Sytuacja stawała się przygnębiająco monotonna i coraz bardziej traciła swój pierwotny związek z szacunkiem dla zwłok poległych towarzyszy broni. Była to teraz nie kończąca się, brudna, straszna robota grabarzy i to się szybko odbiło na japońskich żołnierzach, mimo ich ogromnej dyscypliny. Wiedzieliśmy z doniesień uzyskanych przez nas, że japońscy żołnierze z oddziałów grabarskich ulegli demoralizacji. We wszystkich dywizjach zaczęto mówić, jaką olbrzymią ilość trupów pogrzebano tam, w Mongolii, i jaką klęskę poniosły wojska japońskie.

Początkowo Japończycy próbowali to zwalczać, wysyłając do oddziałów grabarskich żołnierzy z jednej dywizji, a nie z różnych, jak dotychczas. Ale i to nie pomogło - pogłoski szerzyły się i chociaż Japończycy chcieli wykopać jak najwięcej trupów, dziesiątego dnia sami przerwali tę akcję, mimo iż byliśmy skłonni pozwolić na jej kontynuację.

Stoi mi przed oczyma ów widok: jesienny upał, właściwie nie upał, lecz raczej jakaś ostra sucha spiekota. Lekki wiaterek kołysze uschłą, pożółkłą trawę. W parowie stoją żółto-zielone japońskie ciężarówki ze spuszczoneymi burtami, a na platformach stos czegoś czarnego i zielonego. Strach spojrzeć na to, a jeszcze straszniej wyobrazić to sobie, zamknąwszy oczy.

Na zboczku, pagórka, nad parowem, w rozkopanej ziemi widać jakieś straszliwe strzępy i plamy, a nad tym wszystkim na pochyłości siedzi kilkudziesięciu japońskich żołnierzy. Jedni mają hełmy zsunięte na kark, inni odłożyli je na bok; nasmołowane opaski zsunęły z ust, zostawiając tylko opaski na nosach; żołnierze jedzą suszone ryby i drobne japońskie sucharki. Opoдал siedzi oficer. Nie je i nie zdjął opasek, rozłożył na mapniku szkic grobów i coś na nim zaznacza. Widzę to wszystko, jakby to było wczoraj.

Tak więc z martwymi skończono dziesiątego dnia. Pozostała ostatnia procedura - z żywymi: przekazanie jeńców.

Najpierw jednak, żeby nie zapomnieć, pewien charakterystyczny epizod. Otrzymaliśmy w owym czasie dziwne doniesienie, że dowodzący armią kwantuńską (a więc w gruncie rzeczy - całym mandżurskim frontem) generał Ueda został w związku z wydarzeniami nad Chałchyn-Gołem usunięty ze stanowiska. Zaś generał Kamacubara, który bezpośrednio dowodził rozbitym nad Chałchyn-Gołem 6 zgrupowaniem armijnym, dostał order - dalibóg nie pamiętam - brązowego orła czy też czarnego

jastrzębia. Byłaby to wiadomość iście zagadkowa, gdyby nie brać pod uwagę pewnych przesłanek psychologicznych rozumowania ówczesnej japońskiej kliki rządzącej.

Generał Kamacubara w dzień po zamknięciu pierścienia naszych wojsk wokół Jego oddziałów przedostał się samolotem na tyły, Mandżurii. Oficjalnie, jak zeznali wzięci do niewoli oficerowie, uczynił to w celu zorganizowania oporu wobec wojsk radzieckich, które posuwały się w głąb Mandżurii, faktycznie zaś chyba po prostu dla uratowania własnej osoby. Zresztą to nieistotne. Gdy generał Kamacubara wydostał się samolotem z okrążenia, Japończycy, którzy nigdy nie sądzili, że tak szybko zostaną nad Chałchyn-Gołem rozbici, nie mieli żadnych poważniejszych odwodów ani w rejonie walk, ani w drodze ku niemu. Radzieckie i mongolskie wojska mogły, gdyby był rozkaz, w ciągu dwóch-trzech dni przejść sto kilometrów, aż do Chailaru i, być może, zająć to miasto bez specjalnego trudu.

Tymczasem, przeciwnie, nasze wojska dostały surowy rozkaz, by nie przekraczać państwowej granicy Mongolii, lecz natychmiast po wyjściu na nią okopywać się i stawiać zasieki.

Kamacubara po klęsce nad Chałchyn-Gołem, nie dysponując niczym innym, zebrał w pośpiechu wszystko, co mógł: parę batalionów kolejowych, nieco bargudzkiej kawalerii, resztki jakiegoś pułku, który się wyrwał z okrążenia, połączony pułk policyjny - i z tymi wojskami zajęły pozycje obronne w przyzwoitej odległości od nas. Przy realnym stosunku sił w owym czasie była to oczywiście obrona pozorna.

My zaś nie mając rozkazu iść dalej, kontynuowaliśmy tylko budowę umocnień polowych na granicy państwa. Kamacubara ze swoją policją i kolejarzami również, rzecz jasna, nie ruszał w pole i stojąc w miejscu donosił, iż „powstrzymuje napór wojsk radzieckich i nie wpuszcza ich na teren Mandżurii”. Tak sobie stojąc doczekał się po tygodniu nadejścia japońskich dywizji zdążających z innych rejonów Mandżurii.

Widocznie ów epizod „skutecznej, obrony” granicy mandżurskiej tak znikomymi siłami przeciwko wielokrotnie silniejszemu nieprzyjacielowi wyglądał w Tokio aż tak heroicznie, że nieudolny generał, który naraził na zgubę w okrążeniu dwie swoje dywizje i który w myśl japońskiego pojęcia honoru powinien był raczej popełnić harakiri, otrzymał order.

Trudno orzec, w jakim stopniu wyróżnienie miało na celu podtrzymanie wersji o japońskich sukcesach nad Chałchyn-Gołem, a w jakim było wynikiem dezinformacji najwyższego dowództwa. Z pewnością miało miejsce i jedno, i drugie. Widocznie w mentalności japońskiej kliki wojskowej nie mieściło się, że czyjeś wojska mogą nie przekroczyć granicy i nie rzucić się na obce terytorium mimo odkrytego frontu. A skoro nie mogli tego pojąć, musieli -założyć, że ktoś i powstrzymał radziecko-mongolskie wojska; powstrzymać je mógł wtedy tylko generał Kamacubara ze swymi policjantami i kolejarzami. Tak wygląda ów niepojęty na pierwszy rzut oka epizod wojennej kariery dowódcy wojsk japońskich nad Chałchyn-Gołem.

Wracam do opowieści.

Wymiana jeńców odbywała się 2 października w dwu punktach: miejsce przekazania zdrowych, ściślej mówiąc, tych, którzy mogli chodzić, zostało wyznaczone tam, gdzie przedtem toczyły się rokowania, w centrum, nieco bliżej prawej flanki naszych stanowisk. A wymiana ciężko rannych, nie mogących się poruszać, miała nastąpić bliżej naszej lewej flanki, w odległości około półtora kilometra od naszych stanowisk, na polu, które mogło służyć za lotnisko. Tam miały lądować nasze samoloty z transportem jeńców japońskich oraz japońskie samoloty z naszymi żołnierzami wziętymi do niewoli.

Na miejsce wymiany jeńców mogących chodzić przyjechałem z Ortenbergiem wcześniej, na godzinę przed rozpoczęciem wymiany. Jadąc wyminęliśmy ze dwustu Japończyków, jeńców maszerujących pod konwojem; lekko ranni - szli obandażowani, ze trzydziestu jechało na ciężarówkach.

Ledwośmy przybyli na miejsce, okazało się, że ktoś czegoś nie przewidział: wszyscy przedstawiciele pełnomocni - nasi i japońscy - znaleźli się tutaj, a tam, gdzie miała się odbyć wymiana ciężko rannych, nie wysłano nikogo.

Tymczasem wyznaczona godzina wymiany zbliżała się szybko.

Aby zrozumieć to, co powiem dalej, należy uzmysłowić sobie schemat dyslokacji naszych i japońskich stanowisk. Nasze stanowiska znajdujące się wzdłuż granicy tworzyły w tym miejscu łuk, wygięty w naszą stronę. Toteż aby przejechać z prawej flanki na lewą po naszych drogach, biegnących poza

naszymi stanowiskami, musielibyśmy wykonać objazd po całym tym łuku. Natomiast jadąc przez stanowiska japońskie można by jechać wzdłuż cięciwy tego łuku, a zatem drogą o wiele krótszą. Nasz przedstawiciel, major, który miał teraz udać się razem z tłumaczem na prawą flankę, z pewnością spóźniłby się na początek wymiany, gdyby jechał objazdem. Zakłóciłoby to planowany ceremoniał, a myśmy chcieli go zachować.

Wtedy nadspodziewanie szybko porozumieliśmy się na miejscu z Japończykami i ich przedstawiciel, pułkownik, podjął się jechać razem z naszymi prosto przez japońskie stanowiska. Ortenberg, który w takich przypadkach miał błyskawiczny refleks, dosłownie wepchnął mnie do emki obok tłumacza, szepnąwszy do ucha, abym nie był głupi i korzystał z okazji:

- Jedź, zdobędziesz świetny materiał. Będzie o wiele ciekawiej niż objać się tutaj!

Zanim zdążyłem cokolwiek pomyśleć, szofer obrócił kierownicę i ruszyliśmy w ślad za żółtym japońskim chevroletem pomykającym stepem przed nami. Jechaliśmy w pośpiechu, wszyscy uzbrojeni w pistolety. Ponadto na tylnym siedzeniu leżał karabin kierowcy, a u nóg położono nam stos granatów - z piętnaście chyba. Tłumacz wystawił z okna białą chustkę na kiju. Miała ona, w myśl uprzednio odebranych instrukcji, stanowić białą flagę parlamentariuszy.

Nie zdążyliśmy przejechać za Japończykami nawet półtora kilometra, gdy siedzący na przedzie tykowały, mruklawy major obrócił się raptem ku tłumaczowi.

- Coście tę szmatę wystawili? Poddawać się jedziemy, czy co? Schować!

Na to tłumacz:

- Instrukcja.

- To co, że instrukcja. Nie jedziemy poddawać się. Zwycięzcami jesteśmy. Po co ta szmata? Schować, powiedziałem!

- Ale wówczas mogą do nas strzelać - oponował tłumacz.

- Niech spróbują! - uciął major. Chustka została schowana.

Nie powiedziałbym, iż ucieszyła mnie ta sprzeczka, ale jako osoba pozbawiona prawa głosu siedziałem w kącie wozu i czekałem, co będzie dalej.

Ujechawszy ze cztery kilometry usłyszeliśmy gdzieś z przodu kilka wybuchów, jakby eksplozji granatów. Potem droga ostro skręciła, objechaliśmy jakiś pagórek i wtedy ujrzałem widok, którego chyba nigdy nie zapomnę.

Za pasmem wzgórz była dość równa połać stepu. Tam, o kilkaset metrów na prawo od nas, znajdował się uchodzący w dal głęboki rów o szerokości około dwóch i pół metra, pełen czegoś dymiącego. O jakieś trzydzieści metrów od rowu stali żołnierze z łopatami, a jeszcze nieco dalej - gromadka oficerów doglądających tego, co się tu odbywało. Był to ten sam dym, który widzieliśmy z daleka, z miejsca rokowań, a w rowie palono odkopane na naszym terytorium trupy japońskich żołnierzy. Eksplozje, któreśmy słyszeli dojeżdżając, a także i potem, gdyśmy już minęli to miejsce, były to wybuchy amunicji i granatów, które pozostały przy poległych. Wybuchały, gdy dochodził do nich ogień. Dlatego żołnierze po oblaniu benzyną partii trupów odchodzili od rowu na bezpieczną odległość.

„Więc to jest owo słynne święte palenie zwłok - pomyślałem. - Do kogo czyje prochy trafią wobec takiego sposobu palenia? Co w której urnie się znajdzie, czyje szczątki trafią na którą z wysp? Wreszcie czy zawsze będą to prochy ludzkie, czy też niekiedy również i prochy zabitych koni, które także, jak to czasem miało miejsce, zakopywano w sąsiedztwie ciał żołnierzy, a potem łącznie odkopywano i ładowano na samochody - nie przez lekceważenie, lecz po prostu dlatego, że w tej straszliwej mieszaninie strzępów gnijących ciał ponad ludzką możliwość było stwierdzenie, czyje to są szczątki”.

Teraz wszystko to, zwalone z ciężarówek do rowu, oblane benzyną, zżerał ogień. Potem popiół sypano do jednakowych urn, urny pieczętowano, wieziono koleją przez Mandżurię, przez marze, po czym rozwożono po kraju - do wsi, do patriarchalnych japońskich rodzin. I starzy rodzice wierzyli, że to prochy ich syna troskliwie zebrane spoczywają w tej urnie.

Cały ten widok ostatniej postugi nie wywołał wtedy we mnie niczego oprócz zdziwienia zmieszanego ze współczuciem wobec martwych i wstrętem wobec żywych.

Jadąc wzdłuż cięciwy łuku wjechaliśmy może z dziesięć kilometrów w głąb japońskich pozycji. Przy

drogach stały słupy z kierunkowskazami. Co dwa-trzy kilometry znajdowały się stacje benzynowe, czyli po prostu kilka beczek, przy których stał żołnierz. Przejeżdżały wozy osobowe i ciężarówki, a tuż obok, wprężeni w dwukółkę, trzej lub czterej mokrzy od potu żołnierze japońscy ciągnęli beczkę wody.

Step był bardzo płaski, lecz kolein było mało, w przeciwieństwie do naszych terenów przyfrontowych; tutaj biegła tylko jedna droga, miejscami sterczał znak zakrętu i odchodziło w bok odgałęzienie. Aby nie błędzić i nie plątać się nocą po stepie, Japończycy, jak dowiedziałem się później, zabronili żłobienia nowych kolein-pod rygiem dyscyplinarnym; zezwalano na ruch jedynie po wyjeżdżonych drogach. W warunkach wojny w stepie był to zakaz bez wątpienia rozsądny.

Zaczęliśmy w końcu zbliżać się do radzieckich stanowisk. Nagle japoński samochód stanął, pułkownik wysiadł i łamanym językiem rosyjskim oznajmił, że trzeba będzie chwileczkę poczekać: drobny defekt silnika, szofer to zaraz naprawi. Kierowca jął grzebać w silniku, myśmy Stanęli obok: pułkownik Charada oparł się o swój samurajski miecz, a nasz ponury major założył ręce w tył i z zadowoleniem spozierał na japoński samochód.

Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy; upłynęło z dziesięć minut, a Japończyk wciąż jeszcze grzebał w silniku. Nasz kierowca kręcił się wokół Japończyka, wyraźnie męczyła go chętką wskazania mu, co trzeba zrobić, a sądząc z miny doskonale wiedział co, tyle że nie śmiał się wtrącać i tylko zerkał ku majorowi oczekując pozwolenia. W końcu Japończyk coś tam podregulował, dokręcił, naszego kierowcę przestało męczyć, wsiedliśmy i znowu pojechali za Japończykami.

- Korciło, żeby pomóc - zgryźliwie o-zwał się major.

- Pewno, przedmuchać i po wszystkim - odparł kierowca. - A ten się nie wyznaje.

- A ty byś przedmuchał.

- Ja bym przedmuchał, ale przecież nie wiem, czy można...

- Właśnie, właśnie, „nie wiem” - zrzędził major. - Niech się zatrzymują. My sobie poczekamy skromnie. A oni niech kompromitują swój sprzęt na naszych oczach.

Jechaliśmy jeszcze z pięć minut i Japończycy znowu się zatrzymali. Pułkownik Charada wysiadł i oznajmił, że musimy poczekać chwileczkę, bo w samochodzie znów coś nawaliło. Jego kierowca podniósł maskę i jął gorączkowo manipulować w samochodzie, nasz chodził wokół niego, pułkownik Charada stał jak poprzednio oparty o swój samurajski miecz i wpatrywał się w plecy szofera takim wzrokiem, że pomyślałem, iż nie wymiga się dzisiaj od pałek lub czegoś podobnego - zbyt konwulsyjny uśmiech „zdobił” oblicze pułkownika.

Staliśmy tak z dziesięć minut. Major spojrzał na niebo i na zegarek.

- Spóźnimy się.

Chwilę milczał, widocznie wahając się, wreszcie rzucił do szofera:

- Fiedosiejew, pomóżcie! Fiedosiejew rzucił się do silnika. Chwilę rozmawiał z Japończykiem w tym niepojętym dla laika języku kierowców, o którym w jednym ze swych szkiców wojennych tak dobrze pisał Jewgienij Pietrow; Japończyk coś przekręcił, nasz coś przekręcił, któryś w coś podmuchał, silnik zaskoczył i pojechaliśmy.

Japończycy jak przedtem jechali przed nami w odstępie około stu metrów. Przesłonił nam drogę jakiś wzgórek i na kilka sekund straciliśmy ich z oczu: byli już za nim, gdy my wjeżdżaliśmy. A gdyśmy się znaleźli na wzniesieniu, ujrzeliśmy, że Japończyków atakuje nasz samochód pancerny. Na błotniku z naganem w garści stał jakiś nasz oficer. Pułkownik Charada wysiadł z chevroleta i rękami usiłował coś wskazać. Nasz oficer nie schodząc ze stopnia pancerni także gestykulował, o tyle wszakże sugestywniej, że w jego dłoni tkwiła broń zapomniana w ferworze sporu.

Podjechawszy bliżej wyjaśniliśmy nieporozumienie. Okazało się, że zjechaliśmy ze strefy neutralnej w strefę jednej z naszych dywizji. Muszę stwierdzić, że twarz kapitana stojącego na stopniu pancerni spochmurniała, kiedy nas dostrzegł i wysłuchawszy wyjaśnień pojął, że jedziemy razem z tym japońskim pułkownikiem, że jest to parlamentariusz i nie wolno go schwytać jako jeńca.

- Co mi tam, parlamentariusz - nie parlamentariusz! - nie ustępował kapitan. - Potrzymam go dwa dni

- niech się dowie, jak wjeżdżać na naszą linię!

- Ależ on jest z nami!

- No to co, że z wami? Przecież wjechał. I potrzymam go ze dwa dni!

- Tymczasem nas pan trzyma po próżnicy!

- Was przepuścimy, a jego zatrzymamy!... Natychmiast zatrzymamy - konfidencjonalnie teraz zwrócił się wprost do Japończyka - zatrzymamy i basta!

- No, dobra, dość już - rzekł ponury major. - Nie będzie kto miał zdawać i przyjmować jeńców. Ruszamy!

- Będę wam towarzyszył do granicy naszej strefy.

- Proszę bardzo. Proszę.

I pojechaliśmy, teraz my na przedzie, za nami Charada, a za nim dziarski kapitan na pancerce.

Dojechaliśmy w końcu do miejsca, gdzie miały lądować samoloty. Według ustaleń, samolotów tych miało wylądować osiem: cztery nasze i cztery japońskie.

W kilka minut po naszym przybyciu jako pierwsze, zgodnie z porozumieniem, zaczęły lądować japońskie samoloty. Trzy przyleciały puste tylko, po to, by zabrać japońskich jeńców. Jedynie w czwartym znajdowali się nasi żołnierze - ze dwanaście osób: brudni, zarośnięci, strasznie wychudzeni, w większości ciężko ranni, niektórzy z amputowanymi kończynami.

Jakiś wzięty jeszcze w maju sierżant, straszliwie chudy, zarośnięty aż po zapadłe oczy, przy czym w zaroście widoczna była siwizna, z obandażowaną piersią i nogą w gipsie, miał na sobie - co mnie najbardziej zdumiało - poprzepalaną bluzę bez rękawa. Tak został wzięty na placu boju: ranny w pierś, nogę i rękę, w poprzepalanej bluzie, i w takim stanie zwracano go nam po pięciu miesiącach.

Tu na lądowisku stał także nasz mały autobus sanitarny, z którego szybko przyniesiono rannym jedzenie, czekoladę, zdaje się, mleko skondensowane i coś jeszcze, pojono ich i karmiono. Po mniej więcej kwadransie nadleciały i nasze samoloty. Gdy kolejno podkołowały, nasi przy pomocy Japończyków jęli wynosić z nich ciężko rannych. Było ich, jak pamiętam, około siedemdziesięciu, wszyscy na noszach, wszyscy ciężko ranni; niektórzy mogli siedzieć na noszach, inni leżeli plackiem. Wszyscy odziani byli w czystą bieliznę i czyściutki, nowiuteńkie, prosto z igły mundury. Obok każdego rannego leżał na noszach nowiutki japoński płaszcz każdy był przykryty do pasa nowym japońskim kocem, słowem, jak widać, wszystko zgadzało się z poleceniem - „przekazać w idealnym porządku”.

Aż słyszę brzmienie tych słów: „Przekazać w idealnym porządku”. Przekazano ich rzeczywiście tak. Nawiasem mówiąc, nie było to trudne: w nasze ręce wpadło jakieś piętnaście czy dwadzieścia tysięcy kompletów zimowego umundurowania pozwożonego przez Japończyków w przewidywaniu kampanii zimowej.

Japończycy leżeli posępni, cisi; czuło się ich przygnębienie. Pułkownik Charada, wobec nas bardzo uprzejmy i uśmiechnięty, jął naraz mówić głosem świszczącym jak bicz. Stojący tuż obok dwaj majorowie japońscy i dwaj kapitanowie, wojskowi lekarze, jak się okazało, kierowali wyładunkiem, a przede wszystkim załadunkiem jeńców do samolotów. Sanitariusze japońscy wykonywali swoje czynności brutalnie, ciskali nosze o ziemię, żaden jednak z rannych nie wydał nawet jęku. Nasi wynosili ich o wiele delikatniej, grzeczniej, a raczej nie tyle grzeczniej, co po prostu serdeczniej.

W stosunku do swoich rannych Japończycy zachowywali się w sposób rozmyślnie brutalny. Czuło się w tym nie tyle prawdziwą brutalność, co konieczność okazania bezwzględności na oczach przełożonych, manifestacji pogardy wobec jeńców. Sanitariusze uwijali się jak w ukropie. Lekarze rachowali nosze i również mówili ostrym, świszczącym głosem. Żaden z nich nie odpowiedział na pytania, które - słyszałem stojąc obok - zadali im jeńcy. Lekarze i sanitariusze niczym się nie krępując przechodzili wprost po noszach.

Po wyładowaniu wszystkich jeńców sanitariusze raptem podeszli z pakietami białego papieru i idąc wzdłuż rzędów, szybkim, szorstkim ruchem jęli nakładać na głowy rannych kołpaki podobne do dużych torebek, w jakich w naszych sklepach sprzedaje się kaszę. Owe torby z mocnego, sklejonego z kilku warstw papieru wciskano jeńcom na głowy.

Dziwnie jakoś i ciężko było patrzeć, jak tym, którzy nie mogli się podźwignąć, podnoszono brutalnie głowę i nasuwano torbę, zaś następny, jeżeli mógł, wspierał się na łokciach i wyciągał szyję.

Pułkownik Charada przechodził obok, więc zatrzymałem go pytaniem, co oni robią z jeńcami.

Przystanął od razu i wyraz jego twarzy zmienił się momentalnie: najpierw się uśmiechnął. Kierował to ku mnie - odpowiadał na moje pytanie. I w tejże chwili jego dolna warga wyciągnęła się w hardym

grymasie. Kiwnąwszy głową w stronę jeńców rzekł, czyniąc krótki, pełen pogardy gest:

- Wdziękuje się to dla ich pożytku, żeby im nie wstyd było patrzeć w twarz oficerom i żołnierzom cesarskiej armii.

Winienem być powiedzieć, że po wszystkim, co zaszło nad Chałchyn-Gołem, raczej niektórym generałom i oficerom japońskiej armii należałoby włożyć na głowy takie worki, żeby się nie wstydziło wzroku swoich wracających z niewoli żołnierzy, ale, jak zwykle bywa w podobnych sytuacjach, ta myśl przyszła mi do głowy później. Charada odszedł i wydawał jakieś rozporządzenia.

Japońskich jeńców pośpiesznie i szorstko wpychano - właśnie wpychano - do japońskich samolotów, naszych załadowano do jednego z naszych samolotów. Jeden po drugim zaczęły się wznosić w powietrze i wkrótce na opustoszałym lądowisku zostaliśmy sami.

Jeśli mieliśmy trafić przynajmniej na koniec oficjalnej ceremonii przekazania jeńców na punkcie głównym, należało niezwłocznie jechać z powrotem. Ale gdyśmy podeszli do samochodów, okazało się, że chevrolet pułkownika Charady zepsuł się po raz trzeci, jego szofer stojąc plecami do nas znowu grzebał w silniku. Charada nie mówiąc ani słówka podszedł doń z tyłu i trzymając przez pół swój miecz leciutko trącił pochwą w nogę kierowcy. Jednocześnie z lekka obrócił się ku nam i uśmiechnął się. Uśmiech był dla nas. Szofer odwrócił się. Lęk, jaki miał w oczach, powiedział wszystko: dopóki stoi nad nim Charada, może tam grzebać dwie, trzy, dwanaście godzin, lecz tak przerażonymi oczami niczego w silniku nie wypatrzy.

Charada powiedział coś po japońsku, szofer odpowiedział. Charada uśmiechnął się i rzekł:

- Obawiam się, iż nie dojedziemy. Wówczas zaproponowaliśmy, aby wsiadł do naszego wozu razem z nami. Zawahał się, lecz odparł:

- Dobrze, dziękuję.

Stanął przy swoim kierowcy i jął mu coś mówić.

Tymczasem nasz ponury major sprzeczał się z tłumaczem, jak postąpić teraz: wystawić z okna wozu białą flagę czy nie wystawić. Japoński wóz teraz z nami nie pojedzie, więc na pewno będą do nas strzelać.

- Tak, ale z nami jedzie ich pułkownik - mówił major.

- Tak, ale go nie od razu zobaczą. Zobaczą nasz samochód na tyłach swoich pozycji. Wyobraźmy sobie na naszych tyłach japoński samochód! Wprzód nas ostrzelają, nim zauważą pułkownika - klarował tłumacz.

- Cóż, w naszym samochodzie japoński pułkownik - mówił major - a my wystawimy białą flagę, jak gdybyśmy się jemu poddali. Nie, bez flagi jedziemy!

Pułkownik Charada podszedł do nas i wsiadł do naszej emki - major znowu z przodu, my w trójkę z tyłu: z jednego boku tłumacz, pośrodku pułkownik z drugiej strony ja. Dobrześmy go ścisnęli. Miecz ustawiony między nogami przeszkadzał mu przy podskokach wozu, zdawało się, że lada chwila wybije sobie nim zęby. Zawadzał też i leżący z tyłu na siedzeniu karabin, zaś widok granatów rozrzuconych na podłodze też pewnie niezbyt go weselił.

Sądzę, że zrobiło też swoje niedawne spotkanie z krewkim kapitanem pancerki. W każdym razie, gdy wykręciwszy zaczęliśmy wyjeżdżać z lądowiska, Charada krzyknął strwożony:

- Nie, nie tędy, tędy! Droga prowadzi tędy!

Widać obawiał się, że zawieziemy go na teren obstawiony naszymi wojskami. Major obróciwszy się rzucił ponuro:

- Drogę znam. Raz przejechałem, to już znam. Dowiozę pana, proszę się nie obawiać.

- Nie obawiam się - odparł pułkownik i jął się znowu uśmiechać i rozpytywać nas o jakieś rzeczy nie dotyczące ani naszego wyjazdu, ani wojny: o kobiety, o szkolnictwo wyższe i o Moskwę, w której kiedyś przebywał w charakterze pomocnika attache wojskowego czy też w jakimś innym.

Jechaliśmy teraz bez wątpienia przez teren japoński, mimo to jednak pułkownik ściśnięty przez nas z obu stron, jadąc naszym wozem, wyraźnie czuł się niepewnie. Ja i tłumacz też czuliśmy się niezbyt dobrze, baliśmy się ciągle, by któryś z japońskich żołnierzy stojących na posterunkach nie walnął raptem do nas z karabinu. Bardzo byłem zdziwiony, że tak się nie stało. Może nasz major hipnotyzował Japończyków swoją nieposkromioną pewnością, że wszystko będzie w porządku, że nikt go nie śmie zaczepić, może też oszałamiał ich widok samotnego, jadącego przez ich stanowiska bez

żadnej asysty rosyjskiego samochodu, tak czy inaczej żaden nie strzelał. Karabiny się podnosiły, ale gdy samochód podjeżdżał bliżej, Japończycy dostrzegali ściśniętego między nami swego pułkownika, prezentowali broń na jego widok i jechaliśmy dalej.

W ten sposób przybyliśmy na miejsce rokowań.

W chwili naszego przyjazdu czynności związane z ewidencją były już ukończone i obok nas przemaszerowali jeńcy.

Najpierw szli nasi, było ich około osiemdziesięciu. Na czele w granatowym kombinezonie czołgisty szedł chudy, czarny i brodaty żołnierz, czarnooki, z ręką na temblaku. Był to, jak mi powiedziano, major - dowódca batalionu naszej brygady pancerniej. Myślano, że poległ w jednej z walk w lipcu. Okazało się wszakże, iż dostał się do niewoli. Jako najstarszy stopniem wśród jeńców, prowadził kolumnę.

Nasi jeńcy w milczeniu przeszli obok nas i zniknęli za zakrętem drogi wiodącej ku naszym pozycjom. Następnie przeszli Japończycy. Zamykały ich kolumnę dwa otwarte samochody, w których siedzieli ranni, przeważnie w nogi.

Droga. Na końcu kolumny jedzie ostatni samochód z japońskimi jeńcami. Przejeżdża najpierw obok niewielkiego grona naszych lekarzy i pielęgniarek, potem Obok grupy naszych oficerów, którzy kierowali akcją wymiany, wreszcie obok dużej grupy japońskich oficerów.

I wówczas, na tym ostatnim odcinku, na oczach wszystkich ludzi stojących przy drodze, z pudła ostatniego pojazdu podnosi się Japończyk i demonstracyjnie długo macha ku naszym lekarzom i pielęgniarkom ręką obandażowaną w przegubie.

Wszyscy stoją w milczeniu, my i Japończycy, wszyscy to widzą. A on ciągle macha i macha ręką, tak długo, dopóki samochód nie skrył się za zakrętem.

Kim był ów człowiek? Japońskim komunistą czy też po prostu człowiekiem, któremu nasi lekarze i pielęgniarki uratowali życie i który nie dbając o nic chciał im w ostatnim momencie wyrazić wdzięczność? Co go czekało tam, w Japonii: kara dyscyplinarna? Sąd wojenny?. Nie wiem, ale ta scena dotąd tkwi w mojej pamięci. Później, powróciwszy znad Chałchyn-Gołu, opisałem to w wierszu „Najodważniejszy”, nie udało mi się jednak oddać w nim wszystkiego, co czułem, kiedy patrzyłem na tę scenę.

Oto i wszystko chyba, co warte było wspomnienia w związku z moją pierwszą pracą korespondenta w Mongolii. Wiele zapomniałem, wiele też rzeczy pamiętam zbyt mgliście, aby mieć prawo przelać to na papier.

Po wymianie jeńców spędziłem nad Chałchyn-Gołem zaledwie trzy czy cztery dni. Ciągnęło mnie na Zachód. Zdawało mi się, iż tam, na Zachodzie, lada chwila dojdzie do wojny. Szczęściem omyliłem się wtedy o półtora roku.

Przez parę dni nie było samolotu. Postanowiłem pojechać, by pożegnać się z czołgistami. Major Michajłow zawiózł mnie na Bain-Cagan, na słynne bain-cagańskie pobojuwisko, gdzie nasze czołgi, same, bez piechoty, zniszczyły usiłując przedostać się na ten brzeg rzeki Chałchyn-Goł japońską dywizję. Jeździliśmy i chodzili po tej dużej, płaskiej górze. Michajłow pokazywał mi miejsca, skąd wychodziły jego czołgi, któreśy szedł sam, gdzie zabito jego kierowcę, któreśy skręcał, gdzie stały japońskie działa.

Było zimno, dął silny wiatr, wydmuchiwał piasek spod trawy obnażając korzenie. Wszędzie widniały porzucane łuski, odłamki, zgniecione menażki, gdzieś w piasku obok kawałków żelaza walały się kości.

A jednak pole bitwy jest zawsze smutnym widokiem, nawet gdy jest to pole zwycięstwa, nawet gdy już porasta je trawa i nie ma na nim śladów czegokolwiek straszego.

Następnego dnia z braku zajęcia pojechałem z Ortenbergiem w step nad jeziora. Strzelaliśmy z pistoletów do kaczek; on ze dwie nawet ustrzelił. Na kaczki tu nigdy nie polowano - siedziały sobie spokojnie, całkiem nieruchomo, po strzale zrywały się i znów siadały na to samo miejsce. Ale dostać się do ustrzelonych ptaków nie mogliśmy, biała woda tych jezior była zdradliwa: ciągnęły się pod nią niedostępne solniska.

W drodze powrotnej do redakcji widziałem po raz ostatni miraż mongolski. Na horyzoncie piętrzyły się góry, potem góry znikły i pojawiło się jezioro. Potem znikło i jezioro, a pojawił się las. W końcu i las

znikł.

Wróciliśmy późno i długo siedzieliśmy w jurcie, wspominając minione dni. Walki tu zakończono, nowych jakoby nie przewidywano. W stepie było chłodno, wietrznie i pusto.

Wkrótce doczekaliśmy się samolotu TB-3. Transportowano nim ze trzydziestu jeńców - Bargutów z Mongolii Wewnętrznej czy też Japończyków, którzy nie chcieli wracać do siebie. Transportowano ich do Czyty. Zostali umieszczeni w kabinach skrzydłowych, mnie zaś i Krużkowa ulokowano w przedniej kabine nawigacyjnej.

Przełot o mało co nie skończył się fatalnie.

Najpierw ujrzeliśmy, że przestało się obracać jedno śmigło. Leciliśmy powoli na trzech silnikach nad nieskończoną połącją lasów. Niedaleko Czyty nawalił drugi silnik. Szczęściem byliśmy na dużej wysokości, więc pilot tracąc z wolna wysokość leciał na dwóch silnikach. Tak ciągnął trzydzieści, może czterdzieści kilometrów i w końcu wylądowaliśmy, nie tamy, gdzie powinniśmy, lecz w pewnej odległości od Czyty.

Gdyśmy zeszli z samolotu, wyczerpany pilot stał obok swojej maszyny i wycierał pot z twarzy i szyi.

- Przylecieliśmy - westchnął z ulgą. - Nie myślałem, że dolecimy.

Samochodem ciężarowym dostaliśmy się do Czyty. Pociąg z Czyty odjechał przed kwadransem.

Mieliśmy przed sobą trzy doby wyczekiwania na następny, gdyż dostać się do chabarowskiego lub władywostockiego pociągu w owych dniach nie było najmniejszej możliwości.

Do Czyty przybyliśmy, jeśli się nie mylę, około dziesiątego października. Po upływie tygodnia byłem w Moskwie, a po upływie jeszcze jednego dnia znalazłem się na Białorusi Zachodniej...

1948-1968

